NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 370·50 Marek, Półrocznie 741·— Mk. Rocznie 1482·— Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.
Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 10 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 15·—, za wiersz nonpareilowy, jednoszpaltowy 20 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjn. 30 Mp.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 478.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. „Promień", Łódz, Piotrkowska 81.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 30 Marek.

Rok XVIII. Kraków, 9. lipca 1921. Nr. 28.

Szalony czyn ojca pijaka



Za rozbicie flaszki piwa chce zwyrodniały ojciec wrzucić własnego syna w nurty rzeki.

Szalony czyn ojca pijaka.

(Do illustracyi tytułowej)

W jednej z zapadłych miejscowości niemieckich zaszedł niedawno fakt, świadczący smutnie o tem, do jakiego stopnia zapomnienia się dojść może nałogowy alkoholik, jeśli jest pozbawiony trunku, bez którego jego organizm obejść się nie jest wstanie. W nim widzi on jedyny cel swojego życia, on drażni jego nerwy, pozwala zapominać o kłopotach, jakie mu dolegają, a pozbawienie go tej przyjemności, która stała się dlań koniecznością życia, uważa za najcięższą krzywdę, jaką mógłby mu ktoś wyrządzić. Wówczas nie liczy się z niczem, nie zważa na odpowiedzialność, jaką ściąga na siebie, lekceważy sobie nawet najświętsze węzły rodzinne, byle tylko zadośćuczynić uczuciu zemsty, rozsadzającej jego pod wpływem alkoholu zwyrodniałe serce.

Ojciec wyrobnik, znany w całej wsi i okolicy z nadmiernego używania trunku, wysłał do miejscowej gospody swego syna jedynaka z poleceniem, aby za ostatnie kilka marek, jakie pozostały z zeszłotygodniowego zarobku, przyniósł ztamtąd piwa. Posłuszny chłopiec, znając niecierpliwość ojca, okazywaną w podobnych wypadkach, wypełnił skwapliwie rozkaz, ale gorliwość, z jaką się do tego zabrał, omal nie stała się powodem jego śmierci. Wracając pośpiesznie z gospody, potknął się o przydrożny kamień, upadł na ziemię, flaszka się rozbiła, a drogocenny płyn rozlał się na drodze. Gdy powrócił do domu z próżnemi rękoma, opowiadając z płaczem i strachem co zaszło, doprowadził tem ojca do takiej wściekłości, iż wywlókł przemocą z chaty malca na most płynącej nieopodal rzeki, aby rzucić go w jej nurty. Na moście rozegrała się tragiczna scena. Alkoholik dobywał resztek sił, aby chłopca przerzucić przez baryerę, a następnie strącić w głębinę, ofiara broniła się rozpaczliwie, trzymając się kurczowo drobnemi rękami poręczy. I, kto wie, na czem byłoby się skończyło, gdyby nie pomoc przypadkowych przechodniów, którzy pospieszyli ofiarze z pomocą i wyrwali ją z rąk własnego ojca, ceniącego wyżej wartość butelki piwa, niż życie swego jedynego dziecka.

Smutne to, ale prawdziwe, a podobnych zdarzeń spotyka się dość i u nas w życiu codziennym i dla tego z radością powitać należy budzący się coraz bardziej w całym świecie ruch przeciwalkoholowy, mający na celu odzwyczajenie ludzkości, jeśli nie zupełnie, to bodaj na razie częściowe, od tego zgubnego nałogu, będącego powodem większej części zbrodni i doprowadzającej ją do coraz dalej idącego zwyrodnienia moralnego i fizycznego.

Lwów ku czci Hoovera.

Nazwisko Herberta Hoovera, nazywanego u nas zupełnie słusznie „wielkim Amerykaninem", zapisało się złotemi głoskami w dziejach obecnych, powojennych czasów. Wielkość swą zawdzięcza on nie swej działalności politycznej, lecz nierównie szlachetniejszej, bo filantropijnej, dzięki której otarto łzy milionom najnieszczęśliwszych i uratowano od głodowej śmierci miliony europejskich dzieci. Hoover, to obecnie prawdziwy, nie legendowy „wujaszek z Ameryki", którego nazwisko z głęboką czcią i wdzięcznością powtarza każde, najmniejsze nawet dziecko, widząc w nim swego opiekuna i dobrodzieja. Jego inicyatywie i niestrudzonym zabiegom zawdzięczać należy wszczętą w Ameryce akcyę ratunkową dla dzieci europejskich, dotkniętych wypadkami wojennymi. Przeprowadzono ją „po amerykańsku", szybbo i w kolosalnych rozmiarach, rezultat zaś przeszedł najśmielsze nawet oczekiwania. Ratował Hoover od głodowej śmierci całą Europę, lecz pomnika, jaki wykuł sam dla siebie przez zorganizowanie pomocy dla naszych dzieci, nawet wieki nie zniszczą, a nazwisko jego widnieć będzie zawsze między pierwszymi przedstawicielami idei chrześcijańskiego miłosierdzia w najszlachetniejszem jego pojęciu.

W dniu 26. czerwca b. r. złożyła Polska wdzięczny pokłon wielkiemu obywatelowi Ameryki, Herbertowi Hooverowi, który swą olbrzymią akcyą humanitarną ocalił od głodu tysiące dzieci wyniszczonych wojną państw Europy. W dziękczynnem tem święcie główną rolę odgrywała dziatwa polska, dobrze już zapewne zdając sobie sprawę z działalności szlachetnego Amerykanina, co też tej uroczystości nadało specyalny urok i jakiś serdeczny, daleki od oficyalnej sztywności charakter.

Zaznaczyło się to szczególnie już na przedstawieniu w Teatrze miejskim w dniu 25 czerwca, które było wstępem do obchodu na cześć Hoovera. Widownię zapełniały dziecięce twarzyczki, rozradowane i zachwycone. W lożach zasiedli członkowie Kuratoryum szkolnego i delegaci Rady miejskiej. Przed rozpoczęciem programu wygłosił serdeczne przemówienie dyr. Zagajewski, kreśląc krótki obraz akcyi amerykańskiej w Polsce i wznosząc okrzyk na cześć Stanów Zjednoczonych i Herberta Hoovera. Program przedstawienia wypełniły produkcye chóru męskiego „Harfa" i chóru uczenic seminaryum nauczycielskiego, oraz „Dziewczynka z zapałkami", inscenizowana na tle bajki Andersena i „Wesele w Ojcowie".

W niedzielę, dnia 26 czerwca b. r. o godzinie 10 rano odprawił na wzgórzu Cytadeli uroczystą mszę św. polową ks. arcybiskup Bilczewski wobec niezliczonych tłumów bez różnicy wyznania i narodowości, których lwią część stanowiły dzieci z miasta, bliższej i dalszej okolicy. Podczas nabożeństwa przygrywała orkiestra 19 pułku p., a chór Tow. śpiew. „Bard" odśpiewał szereg pieśni kościelnych.

Po nabożeństwie kapela odegrała hymn amerykański, chór zaś zaintonował kantatę. Poczem nastąpiły przemówienia okolicznościowe, oraz wręczenie delegatowi ameryk. Misyi p. Williamowi Gwynnowi dyplomu honorowego obywatelstwa miasta Lwowa dla Hoovera oraz albumów pamiątkowych i adresów dla tegoż, opatrzonych setkami tysięcy podpisów. Zakończyło odśpiewanie przez chór amerykańskiego hymnu „Gwiaździsty Sztandar" i „Roty" Konopnickiej, poczem odbyła się imponująca defilada młodzieży i dzieci z miasta Lwowa, powiatu lwowskiego i licznych delegacyi z całej wschodniej Małopolski, bez różnicy wyznania i narodowości.

Miasto Lwów na dzień ten przybrało uroczystą szatę, zdobiąc swe domy flagami i zielenią ku czci Ameryki i dobrodzieja maluczkich Herberta Hoovera.



Lwów ku czci Hoovera: Misya amerykańska przedstawiciele władz i wojskowość przed mszą św. polową na wzgórzu Cytadeli.

Dziennikarze nadbałtyccy w Krakowie i Wieliczce.

W ubiegłym tygodniu bawiła w Krakowie grupa miłych gości, dziennikarzy finlandzkich, estońskich i łotewskich, przybyła do Polski celem bliższego poznania naszych stosunków.

W wycieczce wzięli udział: z Łotwy pp. red. podpłk. Pleusner, Karklinsch, Freiwald, Zahlts, Lasdinsch, Popoff; z Estonii: pp. red. Luiga, Anderkopp, Tapits, Kornel, de Vries Wifche; z Finladyi: gen. Munck, Polcla, Lenka, Etelapae, Paernanacu, Tahti. Kilpi, Wann i dodani im do towarzystwa przedstawiciele ministerstwa spraw zagranicznych.



Lwów ku czci Hoovera; 1) Przemówienie delegata Misyi amerykańskiej W. Gwynna, 2) Wręczenie dyplomu honorowego delegatom Misyi amerykańskiej, 3) Przemówienie Kuratora szkolnego dra Sobińskiego

Przybycie do Krakowa, nieco wcześniejsze niż się spodziewano, zaskoczyło komitet urządzający, mimo to przyjęcie wypadło bardzo okazale. Na dworcu kolejowym zebrali się przedstawiciele władz, wojskowości, organizacyj społecznych, Wydz. Syndykatu dziennikarzy krak., oraz licznie reprezentowani przedstawiciele pism tutejszych.

Do kolegów wygłosił powitalne przemówienie w języku polskim, francuskim i niemieckim prezes



Nowy prezydent krakowskiej Izby adwokackiej:
Adwokat Dr Jerzy Trammer.

Syndykatu dziennikarzy krak. redaktor „Czasu" p. dr. Beaupré.

Z dworca udali się goście nadbałtyccy samochodami (w liczbie 12) do Muzeum Narodowego, gdzie przybycia ich oczekiwali: prezydent m. Federowicz, komendant tut. D. O. G. Osiński wraz z gronem oficerów, starosta Kowalikowski, naczelni redaktorowie pism tut., wicepr. Syndykaktu dziennikarzy krak. p. R. Woyczyński, członkowie Rady m., oraz szereg przedstawicieli sfer kulturalnych i artystycznych.

Do zebranych gości przemówił prez. m. Federowicz. Odpowiedział po polsku w serdecznych słowach jenerał finlandzki Munk, rodem Szwed.

Po opuszczeniu Muzeum udali się goście na śniadanie, urządzone staraniem Syndykatu dziennikarzy krakowskich w restauracyi hotelu Saskiego.

O godz. 5 po południu zebrali się uczestnicy wycieczki w kawiarni „Esplanade", skąd udali się na Wawel dla zwiedzenia katedry i zamku królewskiego, poczem samochodami pojechali na Kopiec Kościuszki, a stąd w okolice Krakowa.

O godz. 7 i pół wieczorem przybyli do teatru im. J. Słowackiego na przedstawienie sztuki Żuławskiego „Eros i Psyche". Gości powitał ze sceny dyrektor teatru, poczem publiczność zgotowała im gorącą owacyę. O godz. 10. wieczorem w czasie pauzy podejmowali artyści w bufecie teatralnym przybyłych skromną przekąską.

Drugi dzień pobytu zajęło dalsze zwiedzanie osobliwości miasta.

O godzinie drugiej po południu podejmowało gości Koło artystyczno literackie w salonach swych przy Placu Szczepańskim.

Około godziny 4 popoł. goście wyruszyli samochodami na Błonia. Przejeżdżając koło parku dra Jordana, nadbałtyccy goście podziwiali ruch na kiermaszu, urządzonym staraniem Białego Krzyża. Koniec krótkiej przejażdżki czekał gości na Woli Justowskiej, gdzie w nowo otworzonej kawiarni Bisanza spożyli lekki posiłek.

Spędziwszy kilka chwil poza rogatkami, goście dowrócili do miasta, by nie zapóźnić godziny powitania ich przez Tow. Strzeleckie. Kiedy goście wjechali na dziedziniec starego Bractwa strzeleckiego, zagrała trąbka łucznika. Naprzeciw nich wyszedł ubrany w godła strzeleckie król kurkowy dr. Ostrowski w towarzystwie marszałków i całej świty królewskiej. Wprowadziwszy gości na salę przemówił do nich z tronu.

Następnie zabrał głos Dr. Nieć, który swe przemówienie zakończył okrzykiem na cześć Finlandyi, Łotwy i Estonii. Za zgotowane przyjęcie przez brać kurkową podziękowali dziennikarze nadbałtyccy przez usta pp. jen. Muncka i Luiga. Po przemówieniach odbyło się strzelanie do tarczy. Najpiękniejszy strzał oddał red. jen. Munk.

O godz. 10 wieczór przyjmowało ponownie gości Koło art.-literackie. Tutaj oficyalną przemową powitał ich prez. Koła p. red. Chyliński. Na przemówienia odpowiedzieli trzej dziennikarze reprezentujący Finlandyę, Łotwę i Estonię.

Po obiedzie odbył się w salonach Towarzystwa raut, w którym wzięła udział elita całego Krakowa.

Trzeci dzień pobytu gości nadbałtyckich poświęcony był dalszemu zwiedzaniu miasta. Goście oprowadzani przez prez. Syndykatu dziennikarzy krak. zwiedzili między innemi bibliotekę Jagiellońską i Uniwersytet.

Po przyjęciu w redakcyi „Illustr. Kuryera Codziennego" udali się goście na dworzec kolejowy, skąd specyalnym pociągiem odjechali do Wieliczki.

Na dworcu w Wieliczce oczekiwali gości: bur-



Tragiczna śmierć dwu sztabowych oficerów:
S. p. Henryk Jelita Madurowicz, komendant krakowskiego 20 pułku piechoty.

mistrz miasta Ajwas, marszałek powiatu Winter, starosta Maikner oraz p. Dawidowski, kierownik kopalni.

Do przybyłych gości przemówił burmistrz m. Wieliczki. Po przemówieniu wręczyła córeczka p. Ajwasa jen. Munkowi bukiet z żywych kwiatów.

Następnie goście udali się do szybu zjazdowego Daniłowicza, gdzie odbyła się wspólna fotografia. Po dokonaniu zdjęcia zjechali na I. poziom (63 m.), gdzie zwiedzili kaplicę św. Antoniego; dalej zeszli



Dziennikarze nadbałtyccy w Krakowie i Wieliczce Nadbałtyccy goście w towarzystwie krakowskich kolegów i przedstawicieli miejscowej inteligencyi przed zjazdem do kopalni w Wieliczce.

grotą Piaskowej skały na poziom II., gdzie podziwiali wspaniałą kaplicę św. Kingi, komory: Drozdowice, Mosty i Michałowice. W dalszym ciągu komorą Michałowice wyszli goście 36 m. w górę do



Irlandya w walce o wolność: Budynek Urzędu cłowego w Dublinie, zniszczony przez irlandzkich powstańców.

komory Urszuli skąd udali się do komory Łętów, czyli sali balowej. — Tu dla zwiedzających zastawiono podwieczorek, w czasie którego przemawiali: adw. dr. Krieger i Wł. Tetmajer. Odpowiadali przedstawiciele Finlandyi i Estonii. Serdeczny nastrój i dźwięki orkiestry salinarnej pobudziły zebranych, wśród których znajdowały się panie, do pląsów. Opuszczając saliny, goście podziękowali zarządowi za przyjęcie, a inżynierowi Dawidowskiemu i Hankiewiczowi za oprowadzenie po salinach.

Po zwiedzeniu innych osobliwości goście powrócili do Krakowa. Wieczorem byli w teatrze „Bagatela", tudzież na raucie w sali Tow. Strzeleckiego. Nazajutrz nastąpił odjazd do Zakopanego.

Nowy prezydent krakowskiej Izby adwokackiej.

W dniu 25 czerwca b. r. odbyło się walne zgromadzenie krakowskiej Izby adwokackiej, na którem, między innemi, dokonano także wyboru prezydenta w miejsce zmarłego przed niedawnym czasem długoletniego, zasłużonego kierownika tejże instytucyi, adwokata ś. p. Dra Michała Koya, jednego z najstarszych, najbardziej wziętych i sprawom zawodu szczerze oddanych krakowskich mecenasów.



Irlandya w walce o wolność: Przybycie straży ogniowej na ratunek spalonego przez powstańców budynku Urzędu cłowego w Dublinie.

Następcą ś. p. Dra Koya został wybrany jednomyślnie dotychczasowy wiceprezydent Izby Dr Jerzy Trammer, cieszący się ogólnem uznaniem tak dla swej fachowej wiedzy, jak i zalet serca i umysłu.

Dr Jerzy Trammer należy do młodszego pokolenia adwokatów, swą niestrudzoną pracą, fachowością i sumiennością potrafił się przecież wybić na jedno z najpierwszych miejsc pośród naszej palestry, a kancelarya jego zyskała sobie ogólne zaufanie tak w sferach sądowych, jak i wśród najszerszych kół publiczności, potrzebującej umiejętnej, a uczciwej porady prawnej.

I w kierunku teoretycznym znaną i powszechnie uznawaną jest działalność prawnicza Dra Trammera. Jest on autorem kilku poważnych prac z dziedziny prawa, nie licząc drobniejszych rozpraw i artykułów, w swoim czasie powołany też był na członka Komisyi Kodyfikacyjnej Rzeczypospolitej Polskiej. W życiu społecznem nie brał dotąd Dr Trammer wybitnego udziału, całą swą wiedzę poświęcając wyłącznie sprawom swego zawodu, który pojmuje, że obowiązkiem adwokata jest być „obrońcą prawa" i stać wiernie na jego straży i przestrzegać pilnie jego godności.



Dalszy rozwój kooperatywy wśród kolejarzy: Uczestnicy drugiego kursu współdzielczego, urządzonego w krakowskiej Akademii Handlowej wraz z gronem profesorów: Od lewej ku prawej siedzą pp. Juszczyk, Dr Łoziński, dyr. Zw. Okr. Stow. Sp. Rol., Dr T. Kluczko, Dr Wroniewicz i Dr Mortimer.

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłumaczenie z angielskiego Marji Starzewskiej.

TOM II.

Noc była ciepła i cicha. Niebo pogodne, lecz bez księżyca. Nad rzeką, równiną, obu łańcuchami gór, ciągnącymi się nad Nilem, panowała przejrzysta ciemność. Isaacson widział światła na Fatmie, słyszał smutny, gwałtowny śpiew swych ludzi i szczekanie psów w pobliskiej wiosce. Patrząc na światła Fatmy, pomyślał, jak ta łódź zastępuje mu dom i przykro mu było opuszczać ją w nocy.

Zwrócił się na południe i spojrzał w górę rzeki. W dali, w ciemności, jaśniała grupa świateł, a wysoko nad niemi, jakby zawieszony w powietrzu błyszczał błękitny klejnot. Isaacson wiedział, że to lampa, przytwierdzona do masztu Lonlii. Wsunął rękę do kieszeni. Tak, miał z sobą rewolwer. Zapalił cygaro, lecz rozmyśliwszy się, wrzucił je do wody. Zwrócił oczy na błękitny klejnot, na mieniące się pod nim żółte światła i puścił się na swą wędrówkę.

Z początku szedł bardzo powoli i ostrożnie, lecz wkrótce oczy jego przyzwyczaiły się do ciemności i mógł bez trudności widzieć drogę. Od czasu do czasu odwracał głowę i patrzał na swój dom, który za każdym razem zdawał się oddalać. W końcu znikł mu z oczu. Wtedy przestał się odwracać i patrzał przed siebie na światła, które oznaczały miejsce, gdzie stała Lonlia. A wtedy — z jakiego powodu? — doznał wrażenia, że jest bezdomnym tułaczem. Może czuł, że się zbliża do wroga. Ludzie inaczej czują w ciemności, inaczej przy świetle. Wyobraźnia Isaacsona została obudzoną i prowadziła jego umysł na zawrotne, mroczne ścieżki. Błękitny klejnot, zawieszony w powietrzu, zdawał się być złowrogiem okiem pięknej kobiety, która na niego patrzała. Miał wrażenie, jak gdyby Bella Donna weszła na wieżę, żeby śledzić jego kroki w nocy. Wrażenie to stawało się coraz silniejsze, aż doszedł do przekonania, że Mrs. Armine odgadła jego przybycie. Jak? Kobiety mają dziwne intuicye, wiedzą to, czego wiedzieć nie można.

Napewno Bella Donna była na swej wieży. Zatrzymał się przy łanie donry. Po co było iść dalej?

Spojrzał na północ, potem na południe i porównał oddalenie, na którem stał, od swego domu, do odległości, która go dzieliła od Lonlii. Powiedział sobie: „jeżeli jestem bliżej Fatmy, powrócę na nią, jeżeli zaś jestem bliżej Lonlii, pójdę dalej". Lecz bystry wzrok przekonał go, że stał bliżej Lonlii. Los był rzucony! Poszedł naprzód.

Napewno Bella Donna wiedziała o tem, wyszpiegowała ze swej wieży. Usłyszał, nie wiedział gdzie, namiętne głosy fellahów, licznych fellahów, jakby prowadzących gwałtowną rozmowę w ciemności. Wrzask ten nasuwał myśl o tłumie podnieconym silnem wrażeniem. Isaacson stał spokojnie, słuchając i starając się go umiejscowić, lecz nie mógł tego uczynić. Głosy podnosiły się w nocy, zatrzymywały się na pewnej wysokości, jak głosy rozjątrzonych ludzi i nagle umilkły, jak gdyby noc, zrućona ich zgiełkiem, zdusiła ich w swym uścisku. I nastała cisza, przerywana tylko lekkim chrzęstem dony, cisza przejmująca, prawie straszna.

Isaacson przyśpieszył kroku, utkwiwszy oczy w światła na południu. Zbliżając się do nich, miał uczucie zimnego podniecenia, zimnego, gdyż serce jego przejął dreszcz. Kiedy był już blisko nich i mógł rozeznać bezpieczną ciemność, panującą po za ich promieniem, zaczął iść wolniej i wkrótce się zatrzymał. Nubijscy żeglarze na Lonlii zaczęli śpiewać pieśń o Allahu, którą Mrs. Armine słyszała z ogrodu willi Androud pierwszego swego wieczoru w Górnym Egipcie.

Najprzód głos solowy, namiętny, dziwny dla zachodniego ucha, wyraźny, jak głos muezzina, nawołującego wiernych do modlitwy, wołał głośno: „Al-lâh! Al-lâh! Al-lâh!" Głosowi temu towarzyszył głęboki, jednostajny pomruk i głuche uderzenie w darabukkeh; potem przyłączył się męski chór.

Stojąc na tem pustem wybrzeżu Nilu — gdyż Lonlia była przywiązana zdala od jakiejkolwiek wioski — Isaacson pomyślał, że jeszcze nigdy do tej pory nie słyszał muzyki tak bezlitosnej, a jednocześnie tak smutnej, tak okrutnej, a chwilami przechodzącej w dziką skargę. Zdawała się brzemienną ciężkim losem, przed którym człowiek uciec nie może i krzyk z głębi jego serca się wyrywa.

Jak wielka, ciemna chmura Wschód okrył Isaacsona.

Pewnego poranku w Londynie, znudzony powszedniością, zapragnął wypadków tragicznych, wstrząsających, nawet okropnych, byleby niezwykłych, takich, któreby całą jego energię pobudziły do czynu.

Czy to pragnienie spełniło się — teraz?

Pieśń nagle się urwała.

— Al... — i cisza! Imię Boga wschodnich ludzi skonało na ich wargach.

Isaacson czekał, lecz milczenie trwało; poszedł dalej, aż zarysy wielkiej łodzi stały się wyraźne i przekonał się, że błękitne światło było lampą, wiszącą na wielkim maszcie. Wiedział o tem i przedtem, a jednak nie opuszczało go wrażenie, że widzi Bella Donnę, stojącą na wieży. Bella Donnę, wiecznego szpiega.

Szedł teraz bardzo ostrożnie. Rozglądał się uważnie, lecz nikogo nie spostrzegł na wybrzeżu. Brzeg był wysoki, łatwo mógłby zajrzeć przez okno do wnętrza Lonlii. Dziwnie było pomyśleć, że znajdował się tak blisko Nigla, który myślał o nim, że pozostaje wciąż na Cleveland Square, chyba, że Mrs. Armine powiedziała mu o jego przybyciu. Naraz zobaczył coś ruszającego się na wybrzeżu, czołgającego się do świateł, a jednocześnie przelękłego. Był to nędzny pies, parias, wygłodzony z utkwionemi żółtemi oczami w łódź, na której było pożywienie — taki pies, jak ten, który się zbliżył do Mrs. Armine, kiedy siedziała w ogrodzie willi, a Nigel patrzał na gwiazdy. Za zbliżeniem się Isaacsona pies począł drżeć i cofnął się, lecz przysiadł niedaleko.

Isaacson był teraz tuż przy Lonlii. Mógł widzieć balkon, oświetlony elektrycznemi lampami. W głębi, przez otwarte drzwi, widać było światło w pokoju. Stanął znowu. Na balkonie zobaczył długi zarys leżaka, z wyciągniętą na nim postacią. Wtem cisza została przerwana muzyką. Z oświeconego pokoju płynęły chłodne, nowoczesne dźwięki fortepianu.

A zatem Bella Donna zeszła ze swej wieży! Isaacson patrzał na długi zarys i słuchał. Duszę miał pełną tamtej muzyki, okrzyku mahometanizmu wśród afrykańskiej nocy. Ta europejska muzyka wydawała się nie na miejscu. Lecz po chwili słuchał uważniej i postąpił krok naprzód. Szukał w pamięci, zapytywał się, co ta muzyka wyrażała, co dla niego znaczyła? Nie była już banalną, bezbarwną, pomimo, że była wykonaną na fortepianie, w nocy, na tem pustkowiu, pomiędzy dwoma pustyniami.

Bella Donna grała muzykę do „Snu Gerontiusa", w którym dusza człowieka wraca do swego Stwórcy.

„Proficiscere anima christiana de hoc mundo"! (Wyjdź duszo chrześcijańska! wyjdź z tego świata!).

Grała, a wyciągnięta na leżaku postać słuchała.

W tej chwili Isaacson był rad, że przyjechał do Egiptu.

„Wyjdź... wyjdź z tego świata!"

Zdawało mu się, że słyszy głęboki, uroczysty głos księdza przy wtórze muzyki. Świątynia się rozpadła, żeby wypuścić czasowego mieszkańca.

Muzyka umilkła. W drzwiach, wychodzących na balkon, ukazała się ciemna postać, zbliżyła się i pochyliła nad leżącym.

W chwilę później elektryczne lampy na balkonie zgasły. Nigel z żoną pozostali w mroku z oświeconym pokojem ze sobą.

Nędzny pies przyczołgał się bliżej do Lonlii. Ostrożne jego ruchy czyniły niemiłe wrażenie na Isaacsonie. Znajdował pewne podobieństwo pomiędzy nim, a sobą, zdawało mu się, że jest także pariasem ze względu na to, co czynił. Lecz uczucie dyskrecyi, właściwe dobrze wychowanemu człowiekowi zostało w nim zagłuszone innem, daleko silniejszem uczuciem, które zaprowadziło go w nocy na to miejsce, zatrzymywało tutaj i kazało się zbliżyć jeszcze więcej do tych ludzi, którzy byli przekonani o swej samotności. Postanowił sobie usłyszeć głos leżącej na długim krześle postaci.

Światło płynące z pokoju słabo oświecało część balkonu. Isaacson usłyszał cichy głos Mrs. Armine. Poczem czarna postać weszła do pokoju i balkon został nagle pogrążony w ciemności. Kiedy Mrs. Armine weszła, Isaacson zajął miejsce przy ostatnim oknie pokoju. Cała załoga i służba znajdowały się na dolnym pokładzie szczelnie zasłoniętym płótnem. Na górnym pokładzie nie było nikogo. Isaacson nie mógł być dostrzeżonym z balkonu, pomimo, że stał tuż przy nim. Nil płynął z cichym szmerem u jego stóp, żaden obcy dźwięk nie przeszkadzał mu słyszeć.

Suknia zaszeleściała. Pomyślał o sanctuarium w Edfu. I cichy, dziwnie bezdźwięczny głos, którego nie poznał, przemówił:

— Tak daleko lepiej. Nie znoszę silnego światła.

— Kto może być na tym leżaku? — pomyślał Isaacson — czy zabrali z sobą kogoś na łódź?

— Elektryczne światło jest dla wielu osób męczące.

Isaacson znał głos, który to powiedział. To był melodyjny, łagodny, pociągający głos Mrs. Armine. I pomyślał o nieprzyjemnym szorstkim głosie, usłyszanym w świątyni.

— Usiądź przy mnie rzekł pierwszy głos.

Czy to było możliwe, żeby to był głos Nigla? Tym razem było w nim coś znanego Isaacsonowi, coś czemu się przysłuchiwał tak, jakby patrząc na cień zapytał siebie: — czy to cień rzucony przez mego przyjaciela?

Dał się słyszeć szelest sukni i skrzypnięcie krzesła.

— Prawda, że tobie dzisiaj lepiej?

— Nie — odpowiedział z westchnieniem.

— Doktór Baring Hartley mówił, że prędko wrócisz do zdrowia.

— Ruby, on nie rozumie mego stanu. Nie może go zrozumieć.

— Wydaje się tak pewnym siebie. Ma wielką sławę w Ameryce.

— A jednak nie rozumie. Czuję dzisiaj — kiedy grałaś „Gerontiusa" czułem — że muszę wkrótce odejść. „Proficiscere anima christiana de hoc mundo" — miałem uczucie, że to było powiedziane do mnie.

— Nigel!

— To dziwne, że ja, który zawsze tak kochałem słońce, zostanę przez słońce zgubiony. Dziwne, że to co kochamy jest dla nas zgubnem.

— Ale — tak nie jest, Nigel, masz się lepiej, chociaż tego nie czujesz.

— Ruby... — głos był prawie poważny i podobniejszy do głosu, który Isaacson znał — Ruby, jest mi gorzej. Wiem, że z tego umrę.

— Pozwól mi zatelegrafować do doktora Hartley. O świcie wyszlę czółno do Edfu.

— Gdyby Isaacson był tutaj!

Nastało milczenie i po chwili Mrs. Armine rzekła:

— Cóż mógłby doktór Isaacson uczynić więcej niż to, co zostało uczynione?

— To nadzwyczajny człowiek. Widzi, czego inni nie widzą. Czuję, że poznałby co mi jest.

— Poznał! ależ Nigel, wiemy przecie, że to słońce. Ty sam...

— Tak, tak...

— Jutro zatelegrafuję do doktora Hartley, żeby zaraz przyjeżdżał z Asnau.

— Ta straszna bezsenność mnie zabija. Całe moje życie tak dobrze spałem — aż do tej pory. A reumatyczne bóle... jak może słońce... Ruby, nieraz mi się zdaje, że to nie ma nic wspólnego ze słońcem.

— Ach, w takim razie cóżby to być mogło? Wiesz, że sam się wystawiłeś pomimo, że prosiłam, błagałam...

— Upał to dla mnie nic nowego. Całymi miesiąca mi pracowałem w Fayum w pełnem słońcu i nigdy mi nic nie zaszkodziło.

— Nigel, to skutkiem słońca. Czyni się coś dziewięćdziesiąt dziewięć razy i nic, a za setnym trzeba pokutować.

Jedno z krzeseł skrzypnęło.

— Czy chcesz wstać, Nigel? Poczekaj pomogę.

— Czy to nie okropne stracić siły do tego stopnia?

— Powrócą. Poczekaj! Pośliznąłeś się — pozwól, że ci podam ramię.

— Tak, daj mi swą rękę, najdroższa!

Po chwili dodał:

— Biedna Ruby! Co za czas dla ciebie! nie przypuszczałaś, że wychodzisz za kalekę?

(Ciąg dalszy nastąpi).

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA
MARYA TOCZYSKA

48 I.

— Ale nie złożyła jeszcze ostatecznych ślubów? — zapytał Ranieri niespokojnie.

Głos jego brzmiał tak tragicznie, że biedna Róża zadrżała.

— Nie wiem... — szepnęła — nie wiem...

— Ty nie wiesz Różo! Ty nie wiesz!

— Powtarzam panu, że mnie nigdy przyjąć nie chciała — nie widziałam jej więcej.

— Ale nowicyuszki nie składają zaraz ślubów po wstąpieniu do klasztoru! Zdaje mi się, że przejść muszą roczny nowicyat!

— Tak... ale...

— Ale co? mów, Różo!

— Kiedy widziałam ją po raz ostatni — tu głos Róży załamał się.

— Oh! mów Różo, mów! Czy nie widzisz, że zamieram z niepokoju!

— Powiedziała mi wówczas, że podała prośbę o skrócenie nowicyatu.

— Na czas jaki?

— Sześciomiesięczny.

— Czy to możliwe! Czy to możliwe! Mój Boże! Ależ to samobójstwo prawdziwe!... Różo, czy przychylono się do jej prośby?

— Nie wiem.

— Nie próbowałaś potem jeszcze zobaczyć się z nią?

— Próbowałam.

— I co?

— Nie mogłam się do niej dostać.

— A czy nie zapytałaś, czy już złożyła śluby zakonne?

— Owszem, ale nie chciano mi na to odpowiedzieć — westchnęła Róża.

— Ah! oszaleję! — jęknął Ranieri.

Ale tym razem był to okrzyk nie rozpaczy, lecz buntu i gniewu przeciw losowi. Szybkim, nerwowym krokiem przebiegł pokój kilkakrotnie, poczem zatrzymał się przed służącą.

— Różo!

— Panie!

— Ja muszę zobaczyć Rachelę!

— To jest rzeczą niemożliwą, panie — odparła służąca, potrząsając głową.

— Ja chcę ją widzieć!

— Ona jest zakonnicą!

— Służyłem zawsze Bogu wiernie. On nie może mi zabronić zobaczyć się z nią.

— Klauzula nie dozwoli, panie!

Odniosę się do wikaryusza papieskiego.

— Panie! — jęknęła bezsilnie Róża.

— Pójdę do samego papieża, ale zobaczyć ją muszę — upierał się Ranieri.

— Ależ ona jest zakonnicą! Czy pan tego nie rozumie!

— Nic mnie to nie obchodzi. Muszę ją widzieć, muszę z nią mówić. Muszę jej powiedzieć, że jestem niewinnym — a potem umrzeć mogę spokojnie!

— Oh! Boże! — westchnęła rozpaczliwie stara służąca — przyjdź nam z pomocą!

— Muszę ją widzieć, Różo. Nie mogę umierać z taką rozpaczą w sercu, z przekleństwem na ustach. Wiem, że jest tutaj, niedaleko mnie i nie móc jej ujrzeć, to nad siły moje!

Obłędna rozpacz zaciemniła jego oczy, w których czytać było można niezłomne, ostateczne postanowienie.

— Oh! Różo! zobaczyć ją, zobaczyć, choćby na godzinę, choćby na minutę. Spojrzeć na nią, powiedzieć jej jedno słowo i umrzeć!

Ten rozpaczliwy bunt młodego człowieka napełnił Różę przerażeniem. Myśl, że chciał pogwałcić świętość klasztoru, aby ujrzeć Rachelę Kabib, która już może złożyła ostatnie, nieodwołalne śluby zakonne, poruszyła do głębi jej sumienie. Ona to była najgorliwszą pośredniczką pomiędzy młodą żydówką a Ranierim Lambertini'm, potomkiem patrycyuszów rzymskich. Jako gorliwa katoliczka, pragnęła usilnie, aby pomimo przeszkód wszelkiego rodzaju, ślub kościelny połączył ich na zawsze, ale w dniu katastrofy nie śmiała się sprzeciwiać pragnieniu Racheli wstąpienia do klasztoru. I kiedy to nastąpiło, nie oddaliła się z Neapolu, chcąc przynajmniej żyć w tem samem mieście, w którem przebywała jej młoda pani i wyszukała sobie miejsce w rodzinie mieszczańskiej, zamieszkałej na Riviera di Chiaia. Kilkakrotnie Róża usiłowała zobaczyć się z Rachelą, ale młoda nowicyuszka, lękając się, aby wszystkie wspomnienia i wszystkie pokusy świata nie obudziły się w niej wraz z ukazaniem się starej służącej, dawnej swojej powiernicy — odmawiała zawsze widzenia się z nią. Biedna Róża musiała więc pogodzić się z losem i straciła już nadzieję ujrzenia kiedy Racheli.

W wieczór ten znalazła się zupełnie przypadkowo na ulicy Caracciolo i jakież było jej zdumienie, kiedy usłyszała znajomy sobie głos Lambertini'ego, wzywający ją do siebie. Ale teraz gwałtowny wybuch młodego człowieka, silne postanowienie, które rozgorzało w jego oczach, przejęło ją obawą o to, co się dalej stać może.

— To niemożliwe panie, to niemożliwe — powtarzała bezradnie, nie mogąc znaleźć słów, któreby go przekonać mogły.

— Muszę ją widzieć — powtórzył raz jeszcze Ranieri gorączkowo — i ty Różo masz mi w tem dopomóc.

— Ja, panie?

— Ty!

— Ależ ja tego uczynić nie mogę — odparła drżąc całem ciałem.

— Dlaczego?

— Bo Rachela jest już dzisiaj zakonnicą, bo nie wchodzi się bezkarnie do klasztoru tak surowego, bo w końcu musi się pan z tem pogodzić, że ona już nie żyje dla pana.

— Nie chcę rozumieć twoich słów, Różo, Rachela żyje dla mnie! Uwierzę w jej śmierć, kiedy ją ujrzę w trumnie! A wtedy pójdę i dam się pogrzebać z nią razem! — zawołał Ranieri, nieprzytomny już z rozpaczy!

— Co pan mówi! — oburzyła się stara. — To szaleństwo!

— Co ciebie to obchodzić może, że jestem szalonym! Wszyscy, którzy kochają, szaleni są! Musisz mi dopomóc Różo, rozumiesz mnie!

— Ale w jaki sposób? jestem biedną, bezradną kobietą. Nie mogę nic dla pana uczynić.

— Dam ci, co zechcesz, Różo, ale musisz raz jeszcze pójść do Racheli.

— Rachela nosi dzisiaj imię siostry Gracyi i zapewne złożyła wszystkie swoje śluby. Panie, nie trzeba mnie tak dręczyć i dręczyć siebie samego. Rachela należy do „pogrzebanych żywcem".

— To niemożliwe! Nie uwierzę w to nigdy! Raz jeszcze z nią się zobaczyć musisz!

— A jak ona mnie nie przyjmie?

— Tak uczynisz, żeby cię przyjąć musiała!

— Jeżeli mnie wypędzi!

— Powracać tam będziesz tak często, codziennie nawet, że w końcu znużona twojem naleganiem, przyjąć cię będzie zmuszona.

— Panie! Może ona już złożyła ostatnie śluby i niedozwolonem jej jest rozmawiać z ludźmi ze świata?

— Postaram się w takim razie o pozwolenie w Rzymie.

— Co pan tam powie?

— Powiem wikaryuszowi papieskiemu, że ojciec Racheli umiera!

— Ależ to będzie kłamstwo!

— Tak, kłamstwo, ale innego sposobu nie widzę. Powiem, że Rachela pragnie się widzieć z matką, że... oh! daj mi spokój Różo! Powiem to wszystko, co wpłynąć może na możliwość widzenia się jej z tobą, bo to jest konieczne, Różo, słyszysz, konieczne, abyś się z nią widziała i mogła jej doradzić, aby się zgodziła na rozmowę ze mną.

— To szaleństwo! — upierała się stara służąca, głęboko poruszona tym planem.

— Nawet gdybyś musiała codziennie tam chodzić przez kilka miesięcy, musisz się w końcu zobaczyć z nią, Różo — zawołał Ranieri z uporem maniaka, dążącego do urzeczywistnienia raz obranego celu.

— Ależ ja mam swoje obowiązki, służbę — opierała się nieśmiało stara.

— Porzucisz wszystko Różo i wynagrodzę cię dostatecznie. Nie próbuj mnie już przekonywać, bo to będzie napróżno. Nie pozwolę ci już odejść od siebie, od tylu miesięcy zamieram z niepokoju i niepewności. Miłość ta nie opuści mnie nigdy. Czemże ja jednak zawiniłem wobec Racheli, jestem przecież niewinny. Kochałem ją i kocham nad życie, a jeżeli dotąd żyję jeszcze, to dzięki tylko tej iskrze nadziei ujrzenia jej jeszcze, choćby na chwilę. Jeżeli się tak stanie i ujrzę ją szczęśliwą i spokojną, wystrzałem z rewolweru skrócę sobie życie.

W oczach jego nieprzytomnych, błyszczących wewnętrzną gorączką, jaśniało tak silne postanowienie, że biedna służąca, która nigdy w życiu nie doznała męki i rozkoszy miłości, wyobrażała sobie już młodego człowieka, leżącego u jej stóp z roztrzaskaną głową. Ten obraz wywołał w jej prostym umyśle taką grozę, że jęknąwszy głucho, ukryła twarz w dłoniach.

Ranieri odgadł natychmiast, że upór jej został zwalczony. Przybliżył się do niej i kładąc rękę na jej ramieniu, zapytał spokojniejszym już głosem:

— O której godzinie udasz się tam jutro?

— Około dziewiątej.

— Czy nie mogłabyś uczynić to wcześniej? Róża potrząsnęła głową.

— Przed godziną dziewiątą zakonnice udają się wszystkie do kaplicy wysłuchać mszy świętej. Furtyanka nie otworzyłaby mi.

— Dobrze, pójdę z tobą.

— Ale pan tam wejść nie zechce? — zaniepokoiła się Róża.

— Uspokój się. Nie uczynię nic, aby się dostać do środka klasztoru. Chcę tylko ujrzeć te mury, za którymi zamknięta jest moja Rachela. Chcę także być pewnym, że pójdziesz tam naprawdę.

— Więc Ekscelencya mi nie dowierza? — zapytała z wymówką Róża. — Obiecałam, więc słowa dotrzymać muszę. Czy mam przyjść po Ekscelencyę?

— Nie — wyrzekł Ranieri, patrząc na nią z uwagą. Przepędzisz noc tutaj.

— Tutaj?

— Tak. W tym hotelu. Każę ci przygotować pokój.

— A moi państwo? A moja służba?

— Poszlesz do nich z zawiadomieniem, że nie powrócisz tego wieczoru.

— Jakąż podać przyczynę?

— Powiesz im, że mąż twój czy syn przybył... powiedz im zresztą co tylko zechcesz i dodasz, że opuszczasz u nich służbę — rozumiesz? Gdzie mieszkają ci ludzie?

— Na Riviera di Chiaia numer 65. Nazywają się Gatalamessa.

— Dobrze. Sam zajmę się uprzedzeniem ich.

— Oh! Boże! Boże! — westchnęła ciężko Róża. — Co z tego wszystkiego wyniknie.

Ale Ranieri nie zważając już na nią, dzwonił niecierpliwie na służącego hotelowego.

— — — — — — — — — — — —

Nazajutrz, o godzinie dziewiątej rano, Róża wstępowała ciężko po schodach, biegnących od Corsa Wiktora Emanuela aż do stóp murów klasztoru Orsola Benincassa. Pomimo jej próśb i nalegań, Ranieri uparcie szedł za nią. Ranieri przez całą noc oka nie zmrużył i o godzinie siódmej nie zważając na zimno i wiatr dzwoniący o szyby — wyskoczył z łóżka i zaczął się pospiesznie ubierać. Niepokój i niecierpliwość gorączkowa odbierały mu jasność myślenia. Około wpół do dziewiątej Róża drżąca i zmieszana ważnością swojej misyi, przyszła zapukać do jego drzwi. I jej myśli również były wzburzone i niejasne. Nie wiedziała, czy dobrze czyni, mięszając się w ten dramat miłosny, który odgrywał się przed jej oczami, a znowu głębokie przywiązanie, jakie żywiła dla młodej swojej pani i troska, aby się nie przyczynić w niczem do jej ciężkich zmartwień — nie pozwoliła jej stanowczo stawiać oporu woli Ranieri'ego. Czuła tylko, że jakaś okrutna fatalność zawisła nad nimi wszystkimi, a sił do walczenia z nią nie miała już w sobie.

Powóz wynajęty zawiózł ich z Grand Hotelu aż do pałacu Cariati do schodów kamiennych, wiodących do klasztoru. Róża ubłagać chciała, aby chociaż zaczekał na nią i nie narażał jej i siebie, ale Ranieri na pierwsze jej słowa potrząsnął tylko głową i nakazującym ruchem ręki wskazał jej, by szła naprzód. Nocy tej Ranieri usiłował pisać do Racheli, lecz słowa cisnęły mu się pod pióro tak gwałtowne i szalone, że w końcu potargawszy kilka ćwiartek papieru, przyznał sam sobie, że nie jest w stanie w tej chwili opanować uczuć, rozsadzających mu piersi.

(Dalszy ciąg nastąpi)

K. CZEREMOSZ.

KRWAWE DZIEDZICTWO

POWIEŚĆ.

— Nic mi już ani pomódz, ani zaszkodzić nie może — odparł lekarz z melancholijnym uśmiechem — ukrywam stan mój przed otaczającymi, nie chcąc zatruwać młodości mojej jedynaczki, ale wyrok mój już podpisany. Dziękuję pani za współczucie — dodał wyciągając rękę do młodej kobiety, której oczy łzami napłynęły. — A teraz wracajmy do przerwanej rozmowy.

— Boję się znudzić pana, gdyż opowiadanie moje muszę zacząć od siebie.

— Nic nie może mnie znudzić, co ma jakikolwiek związek z mojem dzieckiem.

— Straszna katastrofa złamała mi życie — mówiła Celina opanowawszy swoje wzruszenie — po przejściu której zmieniłam nazwisko, właściwie bowiem nazywam się z domu Poraj-Bogucka. Boguckich jest tak wiele, odrzuciłam więc Poraj, gdyż potrzebnem to było do moich zamiarów.

— Znałem Jerzego Poraja, bogaty i bardzo sympatyczny człowiek, nie wiem co się z nim stało!

— Jestem jego córką...

— Tak, no proszę — szepnął w zamyśleniu doktór Sławucki — dziwnie znajomą wydawałaś mi się pani zawsze.

— Stracił majątek i zostawił mnie sierotą — odparła Celina stłumionym głosem. — Niewiem jak się obcym wydawał, dla mnie był uosobieniem dobroci i rozumu. Niepotrzebuję panu opowiadać jak mnie kochał i psuł swoją pobłażliwością, gdyż i pan tak samo robi ze swoją córką, lecz nie silę się nawet na opis mojej fanatycznej miłości. Dzieckiem jeszcze, byłabym wszystko zrobiła dla niego, a gdy dorosłam, najmilej mi było starać się o jego wygody, zapobiegać zmartwieniom. Gdyśmy zubożeli, rodzina wyznaczyła ojcu małą rentę, a mnie oddała na pensyę, abym w przyszłości sama na siebie pracowała. Ile wycierpiałam przebywając od niego zdaleka, tego wypowiedzieć trudno. Żyłam tylko nadzieją zobaczenia go, pracowałam z myślą pomagania mu, modliłam się tylko za nim, jednem słowem był dla mnie wszystkiem, przyszłością i teraźniejszością.

— Szczęśliwy ojciec! — szepnął doktór Sławucki, mimowoli porównując uczucia swojej córki, do tej miłości pełnej zaparcia.

— Nareszcie miałam go zobaczyć! — opowiadała Celina z powstrzymywanem wzruszeniem. — Skończyłam chlubnie nauki, wracałam do niego, aby z nim razem zamieszkać, na niego pracować! Było to dwa lata temu. Czekał mnie na dworcu! Pierwsze to widzenie oblałam łzami. Znalazłam go zmienionym, postarzałym, a najboleśniej uderzyło mnie zaniedbanie w powierzchowności. Spędziliśmy cały wieczór ze sobą, humor jego pozostał ten sam co dawniej, dowcipny, wesoły, pełen subtelnej obserwacyi.

W kilka dni potem, wieczorem, wybraliśmy się na poszukiwanie mieszkania, a mimo próśb moich, wziął wszystkie pieniądze ze sobą, przysłane przez krewnych. Ostatni to był zasiłek z ich strony, co z naciskiem w liście zaznaczyli. Nie było tego dużo, zaledwie cztery tysiące marek. Chciał odrazu kupić jakieś meble, zadatkować mieszkanie i tym podobnie. Jakoś nic mu się nie podobało, wracaliśmy już do domu, gdy na drodze spotkaliśmy dwóch młodych ludzi, którzy namówili go do udania się z nimi. Od tej chwili nie widziałam go więcej.

— Jakto...

— Powiedziano mi, że wracając późną nocą, zabłąkał się i wpadł do Wisły. Oddano mi martwe ciało i wypchnięto w świat.

— Było przecież robić jakieś starania, dowiedzieć się coś o tych młodych ludziach...

Przysięgłam to sobie! W tym celu zmieniłam nazwisko, śledziłam o ile mi na to okoliczności pozwalały. Dwa lata upłynęło bez skutku, nareszcie w chwili, gdy zniechęcona myślałam czy nie najlepiej porzucić wszystko, poznałam jednego z nich, czy mi pan uwierzy, gdy powiem kto nim jest?

— Przecież nie...

— Tak jest, pan Domejko...

— Przewidzenie, egzaltacya — zawołał doktór Sławucki zirytowanym głosem — nie jest to charakter bez skazy, ale do morderstwa, rabunku, cha, cha, cha, śmiać mi się chce z tych podejrzeń...

— A cóż pan powie na to, że i tego drugiego poznałam — mówiła Celina z pobladłą od wzruszenia twarzą.

— Gdzie, kiedy...

— U państwa na herbacie...

— Nie zdziwiłbym się, gdybyś mi pani wymieniła, najszanowniejsze nazwisko, przewidzenia rozegzaltowanej kobiety nie znają granic.

— Tym razem był to obcy, nieznany człowiek — odparła Celina niezmięszana — przyszedł w interesie do pana Domejki, a widać był pilnym, skoro szukał go aż w pańskim domu.

— Do czego pani dążysz, czego chcesz — mówił zrywając się z krzesła — obwiniasz pani o morderstwo mego krewnego, narzeczonego mojej córki i to dla marnych czterystu marek. Ależ to absurdum, ugruntowane na jakichś kobiecych mrzonkach! Mężczyźnie odpowiedziałbym inaczej, panią mogę tylko przestrzedz, byś nie rozsiewała dalej podobnych podejrzeń, za oszczerstwo bowiem kodeks prawny karze zarówno kobietę jak i mężczyznę.

— Jestemże zdolną do oszczerstwa! — zawołała Celina ze łzami w oczach.

— W jakim więc celu mówisz mi to pani? — zapytał spokojniej, chodząc po pokoju.

— Aby go pozbawić majątku, o który mu najwięcej chodzi, a który otrzyma razem z ręką Helenki — zawołała Celina — to będzie pierwsza kara, a potem...

— Biedne moje dziecko kocha go! — wymówił z boleścią doktór Sławucki, siadając wyczerpany na krześle. — Zasiałaś pani straszne podejrzenie w mym umyśle — dodał ponuro — biada mu, jeśli przekonam się, że chociaż cień prawdy jest w tem co pani mówi.

— Odchodzę więc z tem przekonaniem, że przynajmniej zażąda pan zwłoki, namysłu...

— Z pewnością! postarałaś się pani o to...

* * *

Celina wyszła cała rozgorączkowana! Po raz pierwszy wystąpiła z oskarżeniem i spotkała się z niewiarą, szyderstwem! Zamiast wdzięczności, nakarmiono ją upokorzeniem. O jak to dobrze, że dotąd kryła wszystko w głębi serca, musi mieć dowody żywe, namacalne, zanim powtórzy przed kim swoje podejrzenie. Przepełniona temi myślami wchodziła na schody swego domu, lecz jakże się przeraziła spojrzawszy na zegar, godzina obiadowa dawno już minęła, a ona zapomniała o tem zupełnie.

— Ta jedna tylko myśl opanowała mnie — mówiła ze smutkiem — staję się nieużyteczną, nie umiem odczuć ani spokoju, ani szczęścia chwili obecnej, o czemuż odmienić się nie mogę!

Pan Michał siedział w swoim gabinecie zatopiony w myślach, kiedy weszła Celina zapytując z nieśmiałością:

— Nie jadłeś jeszcze obiadu?

— Nie mam zwyczaju sam jadać — odparł podnosząc głowę, czy wolno wiedzieć skąd wracasz?

— Od Helenki, każę zaraz podawać.

— Daj pokój przeszedł mi apetyt, a przytem jadę na termin i nie mam już czasu na jedzenie. Musisz się tam doskonale bawić, kiedy tak o wszystkiem zapominasz. Ej czy nie ma jakiej ukrytej przyczyny tej dobrej zabawy — dodał z goryczą.

— Tłómacz się wyraźniej, nie wiem co chcesz przez to powiedzieć — zawołała rumieniąc się.

— Masz, czytaj i — strzeż się! — słowom tym towarzyszyło piorunujące spojrzenie, a odsunąwszy gwałtownie krzesło, rzucił na stół zmięty świstek papieru i wyszedł z pokoju.

— List anonimowy i to mąż mój czytał — szepnała Celina blednąc. Przebiegła go oczyma i zawoła szyderczo:

— Łączyć mnie z nim, moje nazwisko z jego osobą, to zanadto głupie, aby mogło obrazić.

Smutno upłynął ten dzień Celinie, pan Michał nie wracał, a sumienie szeptało jej, że nie jest dla niego taką, jaką być powinna. Myśli jej i pragnienia daleko są od domu i dlatego niema w nim tego ciepła serdecznego, które daje obecność kobiety. A jednak nie miała siły powiedzieć sobie: będę inną. Odkładała to na później, gdy spełni wielkie zadanie swego życia.

Kilka dni ciszy zostały przerwane wieścią o nagłej śmierci doktora Sławuckiego. Przerażona Celina pospieszyła do Helenki, zastała ją spłakaną, na każdy szelest drżącą nerwowo. Rzuciła się w objęcia Celiny i jak przestraszone dziecię, nie chciała puścić od siebie. Zamiast boleści, czuła zabobonną twogę! Ten ojciec tak kochający i pobłażliwy, był dla niej w swej trupiej martwocie czemś tak strasznem, że sama myśl zobaczenia go teraz, napawała ją niewymowną bojaźnią.

Celina siedziała przy niej, trzymała jej rozpalone ręce w swoich i łagodnemi słowy koiła jej nerwowy niepokój. Gdy wreszcie usnęła, było już tak późno, że Celina musiała spieszyć do domu, a chcąc Helenkę polecić opiece gospodyni, która czuwała nad ciałem nieboszczyka, weszła do pokoju zmarłego.

Ciało leżało jeszcze na łóżku jak w chwili katastrofy, gospodyni głęboko uśpiona siedziała obok w wygodnym fotelu, a przy biurku, obrócony do niej plecami pan Domejko przeglądał jakieś papiery. Stojąc w progu patrzała na niego zatrzymując oddech w piersiach.

— Czego on tam szuka — myślała — jakaż to podłość dobierać się do cudzych tajemnic! Próżne to poszukiwania, zanadto przezornym był nieboszczyk, aby jaki ważny dokument chować tutaj.

Po chwili zamknął biurko, na palcach przesunął się do łóżka, włożył klucze pod poduszkę i odwracając się, spotkał wzrok Celiny.

— Co pani tu robisz — zawołał przyciszonym głosem wychodząc za nią do drugiego pokoju.

— A pan? — zapytała lakonicznie, mierząc go pogardliwem spojrzeniem.

— Jestem bliskim krewnym...

— I dlatego dobierasz się pan do biurka...

— Przewidziało się pani — odparł cynicznie — biurko zamknięte, a klucze pod poduszką wuja, gdzie je kładł zawsze na noc.

— Możesz pan temu zaprzeczyć — zawołała Celina z oburzeniem — na własne oczy widziałem.

— Co mi tam świadectwo oczu pani — mówił patrząc na nią bezczelnie — gospodyni cały czas czuwała, bo naturalnie nie przyzna się, że zasnęła — dodał szyderczo — klucze są na swojem miejscu, nikt nawet Helenka nie wie, że byłem tutaj, któż pani uwierzy? — zaśmiał się zcicha...

— Uwierzy mi mąż — rzekła odważnie.

— Nie radzę nawet wspominać mego imienia, to jego bolączka oddawna — z temi słowy wysunął się cicho z pokoju.

* * *

Minął pogrzeb doktora Sławuckiego! Wieczorem tegoż dnia przeczytano testament w obecności Celiny, jej męża i kilku jeszcze znajomych.

Teraz dopiero zrozumiała Celina poszukiwania pana Władysława w biurku zmarłego. Widać przeczuwał coś, lub wnioskował z obejścia nieboszczyka, testament bowiem, zrobiony na parę dni przed śmiercią, brzmiał niepomyślnie dla pana Władysława. Zmarły, cały majątek zapisywał córce, a jedyna klauzula, jaką stawiał była ta, aby ślub jej odbył się za rok dopiero. Mówił, że nie dowierza charakterowi swojego krewnego, ostatniemi zaś czasy doszły go wieści jeszcze bardziej podkopujące jego zaufanie, otóż prosi i zaklina córkę, aby przez ten rok czasu, który jej daje do namysłu, starała się poznać swego narzeczonego i uczucia jego dla siebie. Zakazywać nie chce, bo pragnie szczęścia córki, lecz błaga ją o namysł i zastanowienie. Swego prawnego doradcę, pana Michała Wirskiego, naznacza jej opiekunem, a dom jego miejscem pobytu, aż do dnia ślubu.

Helenka płakała nie bardzo zdając sobie sprawy z treści całego testamentu, lecz pan Władysław był cały wzburzony. Napróżno starał się udawać pokrzywdzonego, cierpiącego niewinnie, wściekłość przebijała się w oczach, a usta drżały od tłumionego gniewu. Wreszcie pochylił się nad Helenką i zamieniwszy z nią kilka słów, wyniósł się z pokoju.

* * *

Ciąg dalszy nastąpi)

Kronika tygodniowa

Wakacye mamy zatem już w całej pełni, powietrze rozrzedziło się skutkiem tego widocznie, co bardzo dodatnio wpływa na płuca tych, którzy z jakiegokolwiek powodu zmuszeni zostali do pozostania w mieście. Nawet śmieci mniej na ulicach, co może być następstwem wiatrów, jakie nam przedtem dokuczały, nie jest jednak wykluczone, że i one wyniosły się na świeże powietrze, aby Krakowianie mieli złudzenie, iż są u siebie w domu, choć nawet kilka lub kilkanaście mil oddziela ich od stołecznego, królewskiego, wolnego, rozszerzonego miasta Krakowa. W każdym razie nie jest to zasługą Zakładu oczyszczenia miasta, który wprawdzie zreformowano, ale zabrano się do tego widocznie w niewłaściwy sposób i „pod złą gwiazdą", podobnie jak do reformy naszej policyi na sposób angielski, która dzięki temu, cierpi stale na angielską chorobę i wyleczyć się z niej nie może.

Z Krakowa wyjechały przeważnie średnie sfery, to jest lokatorowie mieszkań parterowych, na pierwszem i drugiem piętrze, najniższe zaś i najwyższe, to jest sutereny i od trzeciego piętra począwszy wzwyż, pozostały na miejscu. Ci pierwsi bez świeżego powietrza obchodzą się zupełnie dobrze, ci drudzy mają go aż zadużo i to bez potrzeby robienia nadzwyczajnych na ten cel wydatków.

Nawet słońce rozpoczyna swoje wakacyjne czasy, wchodząc w znak „piesków" (*caniculi*), a dla dziennikarzy rozpoczyna się sezon polowania na kaczki dziennikarskie i węże morskie. Wakacye zatem w całej pełni, co odbija się nawet na humorze gawronów zastępujących na plantacyach miejskich słowiki i nie robiących sobie nic z rozporządzeń urzędowych o utrzymaniu czystości i porządku. Drą się jak najęte, a to, zdaniem znawców, jest znakiem, że są zdrowe i dobrze usposobione.

I nam zatem, którzy zostaliśmy w Krakowie robi się jakoś weselej, a przyczynia się do tego okoliczność, że przednowek się kończy i niebawem rozpoczynają się żniwa, które wpłyną może na poprawę stosunków aprowizacyjnych. Swięty Medard obszedł się w tym roku z nami bardzo łaskawie, można zatem żywić nadzieję, że żniwa się udadzą, choć już dzisiaj przebąkują agraryusze i to tak wielcy jak mali, że tylko na oko plony przedstawiają się pięknie i że będzie ziarna mało, natomiast... słomy dużo. Mają najzupełniejszą racyę, ziarno bowiem tak czy owak wywiezie pasek za granicę, nam zostanie tylko słoma do wypchania sienników, byśmy mieli bodaj na czem spać, nie mając co jeść. A wiadomo, że jeżeli ktoś się położy na spoczynek o czczym żołądku, miewa nieraz bardzo przyjemne sny, może mu się zatem wydawać, że siedzi przy pełnym stole, używać dowoli i to bez obawy, że sobie popsuje żołądek. Cieszymy się zatem nadzieją lepszych zbiorów, nie cieszy się nią natomiast pan minister aprowizacyi, a to z tego powodu, iż na fotelu tym panuje obecnie bezkrólewie, jak dotąd panowało zaś tylko „bezhołowie".

Ponadto wpływa dodatnio na nasze usposobienie wiadomość, podana zupełnie urzędowo, bo z obserwatoryum astronomicznego, że unikniemy niemiłego spotkania z kometą Winnickiego, na miejsce schadzki przybędzie ziemia bowiem o cztery dni zapóźno, gdy przyjaciel, który nie mógł się jej doczekać, będzie już oddalony o „drobnostkę"... cztery i pół miliona kilometrów. Pokazuje się zatem, że i spóźnienie może mieć swoje dobre strony i dlatego nie powinno się nigdy narzekać na nasze poczty, telegrafy, koleje i t. d.

Druga natomiast astronomiczna niespodzianka, zapowiedziana na ten czas nie miała być połączona z żadnem dla ziemi niebezpieczeństwem. Było nią zaćmienie Wenery w dniu 2 lipca, dla wygody astronomów naznaczone na godzinę szóstą rano, aby nie mieli kłopotu z żonami, które bardzo niechętnie widzą ich nocne urzędowania poza domem. Kronikarz, który z reguły wstaje dopiero koło ósmej rano, zaćmienia owego nie widział, wierzy przecież, że „z powodów od Redakcyi niezależnych" nie zostało odwołane i to mu najzupełniej do szczęścia wystarcza.

Jakoś więc weselej i raźniej człowiekowi, choć Weronika powróciła pod dach rodzinny, a obiady w miejskiej kuchni dla głodnych inteligentów pozostawiają wiele stale do życzenia. Są za małe, aby żyć, zbyt wielkie, aby umrzeć, wprawiają zatem w kłopot mających chęć do życia i utrudniają spełnienie zamiaru kandydatom na samobójców.

W Warszawie też wesoło, czytamy bowiem codziennie prawie, o „Tańcu dookoła tek," a wiadomo, że tańczy tylko ten, komu nic nie dolega. Taniec ten trwa już stosunkowo dość długo i jakoś nie może się skończyć. Warszawa znajduje się zatem w okresie karnawału, tym razem politycznego. Do dodania otuchy przyczyniło się ostatnie *exposé* ministra Skirmunta i Steczkowskiego. Pierwszy z nich oświadczył, iż sytuacya polityczna układa się na ogół bardzo pomyślnie, a główny nacisk położył na ścisłem zbliżeniu się do Czechów, którego jest zdeklarowanym zwolennikiem. Całusy wymienione swojego czasu między panem Piltzem a drem Beneszem, zaczynają znowu wyłazić na wierzch; podobnie jak Venus w dniu 2 lipca b. r. z poza pleców księżyca, czy jednak nie odniosą takiego samego skutku, jak czułości Paderewskiego wobec Waldemarsa, reprezentanta Litwy Kowieńskiej, to dopiero przyszłość pokaże. Minister Steczkowski natomiast wyjaśniając w Sejmie przyczyny gwałtownego i ciągłego spadku naszej waluty, przyznał, że sytuacya finansowa Polski nie jest w obecnych czasach bynajmniej pomyślną, lecz zapewnił, że się to raz musi skończyć, zapomniał tylko dodać, kiedy. Opowiadał dużo o bogactwach przyrodzonych naszego kraju, o czem wiemy, niestety, tylko ze słuchu, bo ani rusz się doczekać, aby te bogactwa przyrodzone miały wpłynąć na poprawę naszej opłakanej doli. W każdym razie „żyjemy nadzieją i nie tracimy nadziei" i ona nam pozwala na zniesienie i przetrzymanie tych trudności i kłopotów, jakich nam żaden dzień nie szczędzi.

Wobec czego i kronikarz nie chce psuć ogólnego wakacyjnego nastroju i mącić go swem złowróżbnem krakaniem i dla tego na czas letnich miesięcy, by P. T. Czytelnikom nie psuć dobrego humoru, postanowił się wstrzymać od polityki i wszelkich rzeczy, jakikolwiek z nią związek mający, gdyż właśnie ona wpływa bardzo ujemnie na pogodne usposobienie człowieka, chcącego spokojnie i niefrasobliwie spędzić wakacyjne miesiące. Jedna tylko wiadomość polityczna rozradowała kronikarską duszę, mianowicie telegram z Londynu, nadesłany przez „własnego korespondenta" i opatrzony znakiem zapytania, że Lloyd George, po latach całych macherstw politycznych, syt laurów i sławy, ma zamiar przenieść się w dobrze zasłużony stan spoczynku i usunąć w zacisze domowego ogniska, gdzie będzie mógł swobodnie rozpamiętywać swą dotychczasową działalność i narzekać na niewdzięczność ludzkości, która nie chciała zrozumieć jego dobrych chęci, skierowanych jednak tylko w stronę Anglii, z pominięciem nawet najbliższych jej obecnych przyjaciół.

— Baba z wozu, koniom lżej... — powiedział sobie kronikarz wyczytawszy to doniesienie. Choć zaopatrzone znakiem zapytania podziałało nań bardzo mile, pomyślał, że lepiej późno, niż nigdy i żywi nadzieję, że ten wóz polityczny, który pozbył się takiej „baby", potoczy się odtąd, to jest od chwili jego ustąpienia naprawdę, lżej i raźniej.

Skoro zatem od polityki trzymać się mamy daleko, trzeba sięgnąć do innej beczki. Kronikarz spodziewał się, że będzie mógł podać bardzo wyczerpujące sprawozdanie ze spotkania Wenery z księżycem, niestety, nie tylko on, ale nawet i nasze Obserwatoryum astronomiczne pozbawione zostało przyjemności patrzenia własnemi oczyma na to niezwykłe *rendez vous*, jak na złość bowiem, tak zawodowym astronomom, jak i zwykłym ciekawym w dniu tym pokryły niebo gęste chmury, prawdopodobnie dlatego, aby nie miały powodu do narzekania krakowskie dewotki, oburzone do żywego tem, że podobne spotkanie ma się odbyć w jasny dzień i na tydzień prawie przedtem reklamowane jest nawet przez tak poważne dzienniki, jak „*Czas*" i „*Głos Narodu*". I o „Wiankach" także nic kronikarz nie napisze, gdyż osobiście nie wziął w nich udziału z powodu zakazu Weroniki, obawiającej się, aby mu chłodne i wilgotne powietrze nadrzeczne przypadkiem nie zaszkodziło. Podobno jednak tradycyjny obchód udał się pod każdym względem, głównie zaś finansowym.

Właściwe wakacyjne kroniki rozpoczniemy dopiero w najbliższym tygodniu (o ile naturalnie nic nadzwyczajnego nie stanie na przeszkodzie...), w bieżącym skorzysta kronikarz ze sposobności, aby odpowiedzieć w imieniu Wydawnictwa tym z pomiędzy P. T. Czytelników, którzy narzekają, że *Nowości Illustrowane* nadmiernie podskoczyły w cenie.

Prawda, że obecna cena numeru, trzydzieści marek, przedstawia się bardzo poważnie w porównaniu z szesnastu centami z czasów przedwojennych, podwyżka ta, jest przecież w gruncie rzeczy minimalną, mającą nas ochronić jedynie od deficytu, a nie obliczoną na jakiś zysk. Z pomiędzy pism naszych *Nowości Illustrowane* podrożały stosunkowo najmniej, jak to postaramy się udowodnić przy użyciu wyższej matematyki, której zasady wpaja się w umysły młodzieży już w niższem gimnazyum.

Porównajmy naprzykład pierwsze lepsze pismo codzienne, którego numer kosztował w roku 1914 trzy centy, a obecnie płaci się zań ośm marek z *Nowościami Illustrowanemi*, a dojdziemy do wniosku, że Wydawnictwo nadzwyczaj oględnie stosuje wszelkie podwyżki. Jeśli z tych wyżej wymienionych cen przed wojną i obecnie ułożymy proporcyę wedle wszelkich zasad matematyki, dojdziemy do rezultatu, że z chwilą, gdy tamto pisemko podskoczyło z trzech centów na ośm marek, *Nowości Illustrowane* powinny były kosztować już wówczas *ponad czterdzieści!...*

Oto dowód, mówiący sam za siebie:

8 centy — 8 marek

16 „ — X „

$$X : 8 = 16 : 3$$

$$X = \frac{8 \times 16}{3} = \frac{128}{3} = 42{\cdot}66$$

czyli, że już wówczas numer *Nowości Illustrowanych*, o ile miałby zdrożeć w tym samym stosunku, powinien kosztować *czterdzieści dwie marki 66 fenigów*. Tymczasem *Nowości Illustrowane* kosztują obecnie zaledwie trzydzieści marek, a nie trzeba zapominać, że wydawnictwo pisma obrazkowego pociąga za sobą daleko większe wydatki, niż każdego innego, choćby się nawet nazywało „illustrowanem", a rycin zupełnie nie podawało. Już w poprzednim numerze zaznaczyliśmy pokrótce, co nas zmusiło do tej podwyżki. Ceny papieru poszły znowu o sto procent w górę, cynk, chemikalia, farby i td. podrożały nawet w większym jeszcze stosunku, przyłączyła się do tego nowa podwyżka płac personalu drukarnianego, co razem wzięte zwiększa koszta wydawnictwa o kilkaset tysięcy miesięcznie i to po zaprowadzeniu najdalej idących oszczędności.

To, co powiedział w swem *exposè* minister Steczkowski, że możemy liczyć na poprawę finansowych i ekonomicznych stosunków, gdyż Polska jest krajem, obfitującym w wszelakiego rodzaju surowce, w dziwnej sprzeczności stoi z wzrastającą coraz bardziej drożyzną papieru, który po wprost bajecznych cenach i po opłaceniu całego legionu pośredników sprowadzać się musi z zagranicy, gdy natomiast nasze drzewo, mogące się nadać na wyrób celulozy w kraju, a temsamem ułatwić zaopatrywanie się w papier, jedzie w stanie surowym za granicę. Taka gospodarka nie rokuje bynajmniej rychłego powrotu normalnych, a bodajby znośnych tylko stosunków. W takich warunkach przemysł nasz nie tylko nie sprosta zagranicy, ale owszem marnieć musi z dniem każdym coraz bardziej, a waluta nasza nigdy się wzmocni. Dziś już nasze gospodynie, wybierając się na targ, biorą ze sobą wielką torbę, wyładowaną banknotami markowymi i maleńki koszyczek, przeznaczony na ewentualnie zakupić się mające artykuły spożywcze. To najdosadniejsza illustracya, przedstawiająca skutki obecnej gospodarki finansowej i ekonomicznego położenia. A z każdym tygodniem owa torba na banknoty musi się zwiększać, koszyczek zaś zmniejszać.

W tych warunkach zrozumiałem też jest, że wszystko musi drożeć w spsób niebywały, to jest, że za najmniejsze głupstwo płacić się musi setkami i tysiącami, gdyż pieniądz nasz przedstawia zaledwie wartość papieru, na którym jest wydrukowany. W miarę podnoszenia się cen, podnoszą się i zarobki pracowników, jeśli zaś są oni zorganizowani, podobnie jak drukarze, lada czem ich nie zadowolni, lecz uwzględnić się musi w pełnej mierze ich postulaty, jeśli się nie chce doprowadzić do przerwania normalnego toku pracy.

I teraz dopiero widzimy, jakie kolosalne znaczenie ma dla bytu ekonomicznego jednostek silne zorganizowanie wszystkich pracowników poszczególnych gałęzi. „Gromada to wielki człowiek"... powiedział jakiś praktyczny filozof, a że się nie pomylił, widzimy to obecnie, porównując warunki, w jakich pracują ci, którzy są zorganizowani, a zatem każdy się z nimi musi liczyć, z tymi, co „chodzą luzem" i cieszą się, jeśli od czasu do czasu rzuci się im coś z łaski, aby dać im dowód, że się i o nich pamięta.

W tych zatem warunkach w jakich obecnie żyjemy i przy tym kierunku naszej polityki ekonomicznej, jaki sobie zyskał prawa obywatelstwa, o poprawie stosunków ani marzyć nie możemy, raczej musimy być przygotowani na coraz to dalej idące zwyżki cen. Są one jednak tylko pozorne, spowodował je zaś mizerny stan naszej waluty. Przy płaceniu obcą walutą, lub nabywaniu czegoś drogą handlu zamiennego, doszlibyśmy do przekonania, że najniezbędniejsze artykuły nietylko w gruncie rzeczy nie podrożały, owszem nawet potaniały. Jeśliby ktoś za numer *Nowości Illustrowanych* zamiast trzydzieści marek chciał zapłacić trzy jajka, które na ostatnim targu notowane były po jedenaście marek za sztukę, wydałby na ten cel licząc po cenach przedwojennych zaledwie sześć centów, a nie szesnaście!

To obrazowe przedstawienie podwyżki cen i powodów, których jest następstwem, powinno chyba przekonać wszystkich tych, którzy narzekają na drożyznę i żądają jej wytłómaczenia.

Tragiczna śmierć dwu sztabowych oficerów.

W ostatnich dniach ubiegłego miesiąca były koszary 20. pułku p. na Krowodrzy (Kraków) widownią tragicznej sceny, której ofiarą padło dwu oficerów sztabowych, komendant pułku, podpułkownik Henryk Jelita Madurowicz i major Zdzisław Tatar Trześniowski.

W godzinach południowych przybył do kancelaryi pułkowej major Trześniowski, żądając widzenia się z komendantem. Ponieważ tenże bawił już w swem prywatnem mieszkaniu, polecił major ordynansowi, aby poprosił podpułkownika. Po chwili usłyszeli ordynansi odgłos szeregu strzałów dochodzący z kancelaryi, a gdy tam pospieszyli, oczom ich przedstawił się straszny, mrożący krew w żyłach, widok. Na podłodze w kałuży własnej krwi leżały martwe już zwłoki obu oficerów. Zawezwana



Olbrzymia manifestacya narodowców niemieckich: Delegacye urzędowe i tłum u stóp pomnika Wilhelma I. w Kyffhaeuser podczas obchodu jubileuszowego w dniu 18 czerwca b. r.

natychmiast pomoc lekarska skonstantowała jedynie śmierć od celnych strzałów rewolwerowych, skierowanych w okolicę serca. Co było powodem zajścia i jaki był jego przebieg, to pokrywa wieczna tajemnica, którą obie ofiary zabrały ze sobą do grobu. Pewnem jest jedynie, że śp. podpułkownik Madurowicz padł z ręki śp. majora Trześniowskiego, który następnie sam sobie odebrał życie.

Tragiczne to zajście wstrząsnęło głęboko opinią publiczną miasta Krakowa, w którem ś. p. podpułkownik Madurowicz cieszył się ogólną sympatyą i uznaniem, smutnem echem odbiło się też w szeregach naszej młodej armii, co zaś najważniejsze i najbardziej napiętnowania godne, dało powód do szerzenia niczem nie uzasadnionych uwłaczających czci śp. Madurowicza pogłosek.

Sp. podpułkownik Madurowicz, charakter czysty, żołnierz z krwi i kości, strzegący pilnie honoru wojskowego padł od kuli wymierzonej w jego pierś ręką podwładnego, również oficera sztabowego, który, być może, mógł mieć doń jakąś osobistą urazę, ale każdy, uczciwie myślący musi przyznać, że sposób, jaki major Trześniowski wybrał dla osobistego porachunku był pożałowania godny i nie licujący z poczuciem dyscypliny wojskowej, a nie tłomaczy go nawet daleko posunięte zdenerwowanie, wywołane ciężką chorobą piersiową, którą nawiedzony był sprawca morderstwa, a w jednej osobie i samobójca. Słyszeliśmy wiele o zaletach i zasługach śp. majora Trześniowskiego, o jego szczytnem pojmowaniu obowiązków, jakie ciężą na żołnierzu i ta właśnie okoliczność kazałaby się spodziewać, że powinien był ocenić następstwa czynu, którego dopuścił się z premedytacyą.

Padły dwa życia ludzkie, obaj ojcowie rodziny, obaj chlubnie zapisani w dziejach odradzającej się Ojczyzny, jeden z nich jako ofiara obowiązku, którego spełnienie uważał jako swą powinność, drugi zaś jako ofiara chwilowego zamroczenia, które wcisnęło mu w dłoń broń morderczą i samobójczą, a było niewątpliwie następstwem ciężkich przeżyć wojennych.

Tragicznemu zgonowi śp. podpułkownika Madurowicza towarzyszy ogólny żal i niekłamane współczucie dla nieszczęśliwej, tak niespodzianie osieroconej rodziny. I na trumnę śp. majora Trześniowskiego padła też niejedna łza tych, którzy go bliżej znali i cenili, z niemi jednak i uczucie ubolewania, że nie umiał nałożyć pętów swym nerwom, które kazały mu w tak drastyczny sposób dochodzić swej rzekomej krzywdy.

Dalszy rozwój kooperatywy wśród kolejarzy.

W dniu 24. czerwca br. odbyło się uroczyste zakończenie II go niż. Kursu spółdzielczego (dział spożywczy) urządzonego przy tut. Akademii Handlowej przez Związek Okręgowy Stowarzyszeń Pracowników Polskich Kolei Państwowych w Krakowie. Kurs ten, drugi w bieżącym roku szkolnym i wogóle, przyszedł jak i pierwszy do skutku z inicyatywy i staraniem zarządu Związku w osobie p. Teodora Kluczki, przy chętnej pomocy dyrektora Akademii Handlowej p. Kannenberga. Miał na celu przygotować dla naszego młodego ruchu dążącego do wyzwolenia konsumentów, pracowników uświadomionych teoretycznie w naukach handlowych i ekonomicznych, oraz umożliwić im połączenie nabytych wiadomości z praktyką, gdyż słuchacze kursu byli i będą czynnymi członkami istniejących i mających się zakładać spółdzielni. Kurs trwał cztery miesiące, od 21 lutego do 21 czerwca br. w godz. popołudniowych. Obejmował w czterystu godzinach wykłady: księgowości, rachunków handlu i korespondencyi towaroznawstwa, gospodarstwa społecznego, teoryi historyi i ustawodawstwa spółdzielczego oraz organizacyi i administracyi spółdzielni. Prelegentami byli czterej profesorowie Akademii Handlowej i jeden kooperatysta, pracownik Związku. Słuchaczy zapisało się z najróżniejszych warstw klasy pracującej, w wieku od 17 do 40 lat, płci obojga, 37; do końca uczęszczało osób 26: z tych 9 otrzymało świadectwa z postępem b. dobrym, 8 dobrym, 5 dostatecznym. W ostatnich dniach urządził Kurs praktyczną okskursyę do biur hurtowni Związku, sklepu „Solidarność“ i spółdzielni kolejarzy w Woli Duchackiej oraz wycieczkę poglądową do zakładów przemysłowych w Białej-Bielsku.

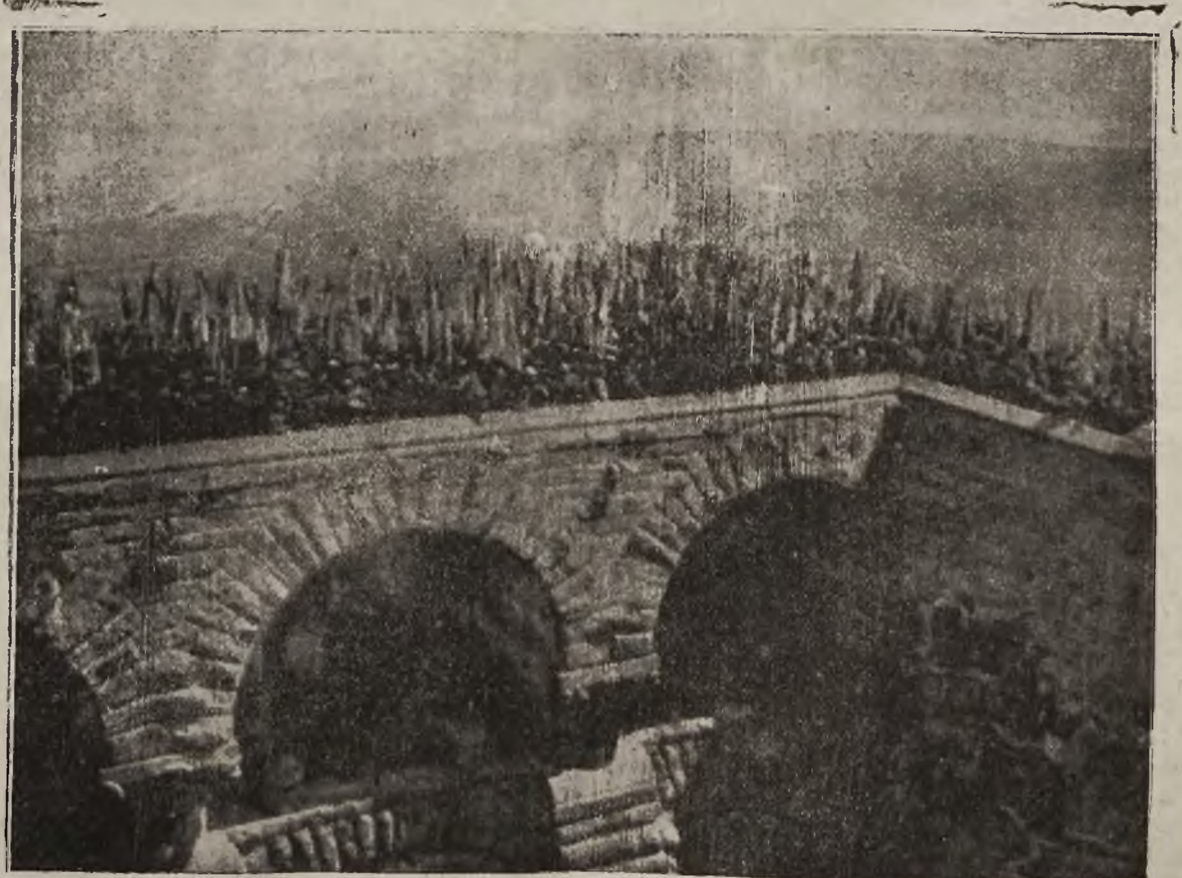
Związek położył sobie za zadanie tworzyć bez przerwy takie kursy, a w przyszłym roku szkolnym chce urządzić także dłuższy Kurs wyższy dla organizatorów względnie zarządów i lustratorów spółdzielni, zaś w celach propagandy i pogłębienia idei spółdzielczej założyć „Koło kooperatystów“.

Irlandya w walce o wolność.

Stosunki jakie panują od dłuższego czasu w Irlandyi, nie zmieniły się bynajmniej na lepsze. „Zielona Wyspa“ jest ciągle terenem zażartych walk, prowadzonych z obu stron z nadzwyczajnem roznamiętnieniem. Pociągają one za sobą niemal codziennie liczne ofiary w ludziach, a przelana krew pogłębia coraz to bardziej przepaść, dzielącą zaborców od ujarzmionych. Wszelkie próby porozumienia ze strony czynników rządowych angielskich odrzucają stale irlandcy patryoci, nie chcący się zgodzić na połowiczne załatwienie sprawy, lecz żądający zupełnej samodzielności w pełnem tego słowa znaczeniu. To znowu nie zgadza się z interesami angielskich sfer rządzących i z tego powodu wrzenie w irlandzkim kotle wzrasta z dnia na dzień. Władze angielskie postępują wobec Irlandczyków z całą bezwzględnością, ufając, że ich siła musi przecież kiedyś złamać opornych, a to dolewa tylko oliwy do ognia, gdyż powstańcy irlandzcy, ufni w słuszność i świętość swej sprawy, odpowiadają na represye angielskie terrorem, skierowanym przeciwko swym ciemiężycielom wypowiadając walkę na śmierć i życie wszystkiemu co nosi na sobie piętno angielskie. Piękny kraj pokrywa się zgliszczami i ruinami, liczba mogił obrońców wolności zwiększa się z dniem każdym, a w kulturalnej Europie, ujmującej się tak chętnie za rzekomo krzywdzonemi mniejszościami narodowemi, nie odzywa się ani jeden głos protestu, a jeśli gdzie, to właśnie tu byłby on w zupełności na miejscu. Jedna jedyna Ameryka, w której zamieszkują setki tysięcy Irlandczyków, wyraża głośne dla nich swe sympatye, podyktowane jednak nie tyle może współczuciem dla gnębionych, ile raczej względami politycznymi.



Olbrzymia manifestacya narodowców niemieckich: Hindenburg wygłasza przemowę podczas uroczystości jubileuszowej w Kyffhaeuser.



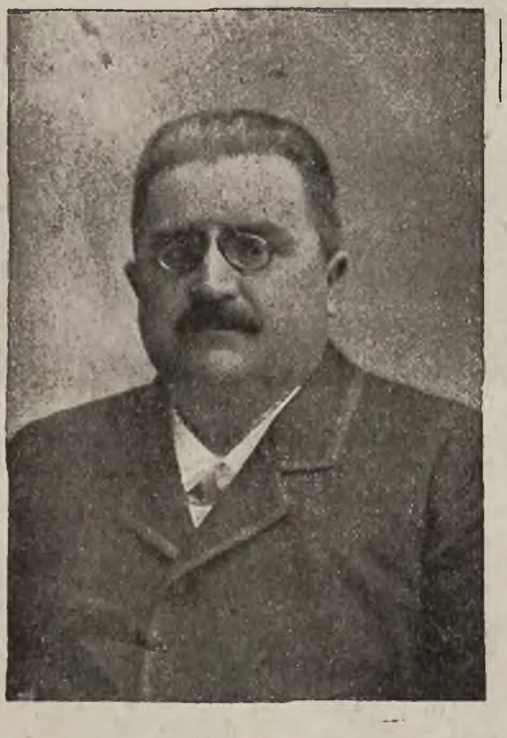
Olbrzymia manifestacya narodowców niemieckich: Defilada delegacyi, związków i studentów podczas uroczystości jubileuszowej w Kyffhaeuser.

Jednym z aktów rozpaczy gnębionych Irlandczyków było spalenie gmachu Urzędu cłowego w Dublinie.

Dwudziestego piątego maja popołudniu stu Sinnfeinistów, uzbrojonych i zaopatrzonych w bańki z naftą wdarło się niespodziewanie do gmachu Urzędu cłowego w Dublinie.

Napastnicy postępowali według obmyślanego z góry i dokładnie przestudyowanego planu, tak, że w jego wykonaniu nikt nie mógł im przeszkodzić. Ubezwładniono przedewszystkiem posterunki policyjne i wojskowe, stojące w drzwiach, poczem Sinnfeiniści spędzili na jedno miejsce urzędników — około 800 osób — i trzymając ich pod lufami rewolwerów, nie pozwalali nikomu ruszyć się, sami zaś powyciągali wszystkie książki, dokumenty i papiery, rzucili je na ziemię, oblali naftą i podpalili.

Scena ta trwała około 20 minut.



Zgon wybitnego kupca-obywatela: S. p. Józef Jawornicki, zasłużony kupiec i obywatel krakowski.

Kiedy Sinnfeiniści zobaczyli, że pożar dostatecznie się rozszerzył i nikt go już nie zdoła ugasić, pozwolili urzędnikom odejść i sami przygotowali się też do odwrotu. W tej chwili jednak czarne słupy dymu biły już z okien budynku, co oczywiście zgromadziło tysiące ciekawych, a także zaalarmowano wojsko. — Natychmiast na miejsce pożaru przybył samochód pancerny i dwie platformy z żołnierzami. Sinnfeiniści zaczęli bombardować woisko granatami ręcznymi, poczem rozpoczęła się bitwa, w której ze strony wojska używano nawet karabinów maszynowych. W krótkim przeciągu czasu na bruku leżały dziesiątki rannych i zabitych.

Straż pożarna wciąż jeszcze nie pojawiała się — jak się później dowiedziano, z tego powodu, iż do sztabu brygady pożarnej wtargnęli równocześnie z podpaleniem gmachu Sinnfeiniści, którzy ubezwładnili komendę. Kiedy straż przybyła, rewolucyoniści irlandcy, zamknięci w płonącym gmachu, ostrzeliwali ich z rewolwerów.

Ostatecznie Sinnfeiniści wypuścili z gmachu urzędników, a wkrótce potem sami się poddali. Kilkunastu zginęło od kul angielskich żołnierzy, kilku spaliło się żywcem.

Piękny gmach Urzędu cłowego spłonął do cna. Zostały z niego tylko gołe, osmalone ściany.

Olbrzymia manifestacya narodowców niemieckich.

Niemcy nie wyrzekli się pomimo gruntownej porażki, nadziei zapanowania nad światem, a idea monarchiczna tkwi głęboko w sercu każdego niemieckiego narodowca, nie wątpiącego bynajmniej, że musi nadejść chwila oddwetu i że pokonana chwilowo Germania wróci wcześniej czy później do pierwotnego blasku i sławy.

W dniu 18 czerwca b. r. obchodzono bardzo uroczyście dwudziestopięciolecie poświęcenia „Wieży cesarskiej“ w Kyffhaeuser, koło Nordhausen, w okolicy Halle. Jest to wysoka, lesista góra, której szczyt zdobi zamek z epoki Hohenstaufów. Z miejscowością tą łączy się krążąca wśród ludu niemieckiego legenda, iż we wnętrzu góry znajduje się grota, w której śpi wielki cesarz, Fryderyk Rudobrody, a obudzi się ze swego wieki trwającego snu w chwili wyswobodzenia Germanii, to jest zapanowania jej nad całym światem. Kyffhaeuser jest też celem patryotycznych pielgrzymek niemieckich narodowców, którzy rok rocznie zbierają się tutaj masowo z całego kraju, aby umocnić swojego ducha i przekonać się, czy przypadkiem Fryderyk Rudobrody nie przeciera oczu, co byłoby już znakiem, że się budzi ze snu. A wtedy, biada ci, Europo!...

W roku 1896 wzniósł tu Wilhelm II olbrzymi monument. Dziedziniec poprzedza ganek zamknięty ze statuą Fryderyka Rudobrodego. Na drugim, siedmdziesiąt metrów długim tarasie znajduje się posąg Wilhelma I., twórcy nowego cesarstwa niemieckiego, olbrzymich rozmiarów, przewyższającego bowiem sześciokrotnie zwykłą ludzką wysokość. Posąg Barbarossy i statua Wilhelma I. gromadzą u stóp swych patryotów niemieckich, dając im sposobność do wyjawienia uczuć, jakiemi przepełnione są ich serca. Średniowieczny twórca wielkości Niemiec i jego nowoczesny naśladowca nasłuchali się już dość bardzo pewnych siebie głosów na temat wielkości i znaczenia żywiołu germańskiego, tegoroczne, w dwudziestą piątą rocznicę poświęcenia wieży w tonie i pewności siebie nie ustępowały zupełnie dawnym, wygłoszonym w czasach, w których wydawało się, że panowanie Niemiec nad światem jest już tylko kwestyą chwili. Możnaby tegorocznym zarzucić chyba to, że wypowiedziano je nieco płaczliwym głosem, co jednak nie wpłynęło na podniosły nastrój tysięcy zebranych.

Nie obeszło się oczywiście i bez niezbędnego w takim wypadku Hindenburga, który przemawiał, zabierał głos również jenerał von Heeringen, a wielotysięczne tłumy zalegające dziedziniec i stoki góry, wznosiły entuzyastyczne okrzyki: *„Gott mit uns!... Mit Gott für's Vaterland!...“*, jak gdyby chcąc obudzić śpiącego Fryderyka.

Ale on ani się nawet nie ruszył!

Zgon wybitnego kupca-obywatela.

W jednym tygodniu straciło krakowskie obywatelstwo dwu swoich najwybitniejszych przedstawicieli. Prawie bezpośrednio po zgonie śp. dr. Henryka Szarskiego zmarł w naszym mieście śp. Józef Jawornicki, właściciel i szef znanej firmy handlowej „M. Jawornicki“, długoletni zasłużony radca miejski, członek wydziału Kongregacyi Kupieckiej. Wielkiego Wydziału Kasy Oszczędności, zastępca dyrektora Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń, skarbnik krakowskiej Izby Handlowej i Przemysłowej, członek wielu towarzystw społecznych i kulturalnych.

Urodzony w Krakowie w r. 1855 po złożeniu tutaj egzaminu dojrzałości, odbywał fachowe studya w Akademii Handlowej w Pradze. Obdarzony pięknym głosem tenorowym miał śp. Jawornicki pierwotnie zamiar poświęcić się karyerze artystycznej, kształcił się w tym kierunku w paryskiem Konserwatoryum u światowej sławy mistrza Thomasa. Z powodu śmierci ojca przerywa swe studya artystyczne, aby się oddać poświęcić wyłącznie handlowi i pracy społecznej w rodzinnem mieście. Firma, którą odziedziczył po ojcu, jedna z najstarszych w Krakowie, pod jego umiejętnem kierownictwem rozwija się



Na gruzach Sceny ludowej: Ostatni dyrektor Teatru Ludowego w Krakowie, prof. J. Wiśniowski.

z dniem każdym, zyskując sobie swą uczciwością i sumiennością coraz liczniejszą klientelę. Poza zajęciami zawodowemi bierze śp. Józef Jawornicki żywy udział w życiu społecznem Krakowa i pracuje gorliwie i wydatnie w rozlicznych instytucyach, które zaliczały go do najczynniejszych i najsumienniejszych członków. W krakowskiej Radzie miejskiej zasiadał lat dwadzieścia pięć, a ustąpił z niej dopiero w roku 1914, gdy ciężka słabość poczęła nurtować jego organizm, a wszelkie zabiegi lekarskie okazały się bezskutecznymi. Jako radca miejski odznaczał się śp. Jawornicki wielką pracowitością, pilnością niezależnością od wszelkich postronnych wpływów, stając zawsze na straży interesów miasta i ogólnego dobra, a nie osobistych lub partyjnych. W młodszych latach nie zaniedbywał też i swych artystycznych



Na gruzach Sceny ludowej: Pierwszy dyrektor Teatru Ludowego w Krakowie, art. dram. Stanisław Knake-Zawadzki.

zdolności i występował często w popisach i koncertach krakowskiego Towarzystwa Muzycznego w partyach solowych i zespołach chóralnych, zyskując sobie uznanie krytyki i oklaski słuchaczów.

W dziejach naszego kupiectwa i mieszczaństwa ostatniej doby zajmuje śp. Józef Jawornicki bardzo poczestne miejsce, z nim schodzi do grobu jedna z najwybitniejszych postaci starego Krakowa, przedstawiciel tego dawnego patrycyatu naszego miasta, który cały zapas swych sił i dobrej woli składał zawsze na ołtarzu ogólnego dobra. Młode pokolenie ma w śp. Zmarłym piękny przykład do naśladowania, jak należy pojmować i pełnić obowiązki obywatelskie.

W ostatnich latach, nękany coraz bardziej ciężką słabością, wycofywał się śp. Jawornicki powoli z życia społecznego, ona też położyła kres jego zasłużonemu żywotowi. Związany węzłami rodzinnemi z najwybitniejszemi rodzinami naszego miasta, ożeniony był z Anną z Koyów. Osierocił dwoje dzieci, Zuzannę, zamężną Janową Fischerową, oraz syna Stanisława, który po ojcu obejmuje kierownictwo rodzinnej firmy.

Na gruzach Sceny ludowej.

Po blisko ćwierć wieku istnienia i chlubnej swej działalności, padł ważny posterunek narodowej kultury, ostoja Sztuki ludowej, z ciężkim trudem zacnych ludzi wzniesiony duchowy gmach — Teatr Ludowy — „iure caduco“ najnieoględniej w ostatnim czasokresie prowadzony, najniewłaściwiej przemianowany na „Teatr Powszechny“.

Założycielem i pierwotnym dyrektorem Ludowej sceny był niespożytych zasług wielki obywatel i znakomity artysta Stanisław Knake Zawadzki w roku 1900. Nadludzką siłą woli i poświęceniem zdołał on stworzyć tą scenę i zebrać wyborny zespół, z którym rozpoczął pracę w gmachu dawnej Ujeżdżalni pod Kapucynami.

Po ustąpieniu Zawadzkiego patronat nad Teatrem Ludowym objęło Towarzystwo Szkoły Ludowej, a dyrektorami byli kolejno: Müller, Jejde, Gabryelski, przeniósłszy już teatr do budynku przy ulicy

Krowoderskiej. Następnie kierownictwo prowadzili Rygier, potem Frączkowski z Pilarskim, Foleński, Pilarski, Turski, Jarniński i Wiśniowski, a po śmierci pierwszego już do ostatnich chwil sam Wiśniowski.

Program Teatru Ludowego opierał się zrazu na zdrowych i racyonalnych podstawach repertuarowych właściwych popularnej scenie narodowej. Rodzimy dramat, lekka komedya, śpiewna sztuka ludowa i wodewil były wyłącznym jego zakresem, a olbrzymia frekwencya publiczności i bezwzględne uznanie prasy stwierdzają dokumentowo w jakim kierunku i duchu scena tego rodzaju powinna być przez sumiennych kierowników prowadzoną.

Atoli w niedługi czas wkradł się destrukcyjny żywioł w organizm ludowej sceny. Wprowadzono w repertuar operetkę, „słodką truciznę", która spaczyła zupełnie kierunek sceny i zdeprawowała publiczność, pogardzającą już teraz zdrową karmą duchową na korzyść tłustego kupletu i dekoltowanego kankana. Spadkobiercy sceniczni tej spuścizny nie mieli ani odwagi ani zrozumienia dla usunięcia



Na gruzach Sceny ludowej: Artysta Teatru Ludowego w Krakowie, Eugeniusz Kalinowski.

zła, ograniczali się jedynie do pusto brzmiącego frazesu o „klasycznej" operetce, poświęcając jej tylko całą swą pracę, zasoby teatru i pieczołowitość, mającą w sobie coś z lubieżnej pieszczotliwości dla rafinowanej kokoty.

Przy operetce, wystawianej względnie starannie, obsadzonej dobrze — polski dramat i komedya (za wyjątkiem polskiego wodewilu zepchniętego również na plan ostatni) — świeciła pustką.

Było to już w czasach, kiedy Teatr Ludowy przeszedł pod zarząd Miasta, a ówcześni kierownicy nie chcąc się rumienić i nadużywać haseł sztuki ludowej, przemianowali tę scenę na „Teatr powszechny".

Gmina miasta patrzyła ze stoicznym spokojem na tę gospodarkę na zupełny upadek sceny ludowej, forytując operetkę, wzmocniwszy ją jeszcze baletem.

Mimo to wszystko Gminie „nie kalkulowało się" przedsiębiorstwo, operetka kosztowała zbyt wiele (ich zdaniem), dramat się nie opłacał, a chcąc mieć nic więcej jak tylko rentowne przedsiębiorstwo, zdecywała się rozwiązać Teatr Powszechny, usunąć sie zupełnie od wpływów artystycznych i administracyjnych, a budynek teatru, urządzenia i inwentarz przekazała prywatnemu przedsiębiorstwu, które ma tam prowadzić operetkę i operę z wyraźnem zastrzeżeniem wykluczającym wszelki inny rodzaj reprezentacyi.

Robota ta była z góry przygotowaną, a podjazdowe ataki części niesumiennej prasy, dokonały smutnego dzieła. Ludowa sztuka ustąpiła ze swego gniazda wypędzona przez wiedeńską ladacznicę — operetkę.

Drużyna artystyczna Teatru Ludowego rozpierzchła się jak ptaki wygnane z ojczystego gniazda. Smutny, a niezasłużony los dotyka z nich wielu, a są wśród nich siły niepoślednie, są i talenta młode, które utoną i roztopią się w niewłaściwej im atmosferze.

Teatr jest miejscem rozrywki godziwej, a nigdy nauki „mas", które mają po temu inne oświatowe instytucye.

Robić z teatru szkołę jest to samo, co chcieć wmówić w świat, że cyrk jest uniwersytetem, a kawiarnia — kościołem.

Doktrynerstwo prowadzi zawsze do zguby. Z licznego grona artystów zasługują na serdeczne słowo uznania i tkliwego pożegnania ci, którzy od początku służyli pod sztandarem Sztuki ludowej, a dziś po ćwierć wieku swej pracy odegnani od niej zostali.

Chcemy mówić o Eugeniuszu Kalinowskim i Anieli Kolman.

Kalinowski — to talent wielki i dziwnie wszechstronny. Charakterystyczny komik o szlachetnym podkładzie talentu, którego zakres obejmuje całą skalę i rozmaite dziedziny twórczości, że naznaczymy tylko biegunowe jej kresy jak Kelchas w "Pięknej Helenie", Mrozik, w „Weselu Fonsia", Majcherek w „Królowej przedmieścia", i prawdziwie dramatyczne kreacye z poważnego, a nawet klasycznego repertuaru. Pozyskał też zasłużone uznanie publiczności i prasy i z prawdziwym żalem musi Kraków żegnać tego wybornego artystę.

Cóż napisać o Anieli Kolman?

Trudno naprawdę pogodzić się z tą myślą, że ta kochana, serdeczna „Kolmanka", to genialne wcielenie krakowskiej kobiecej duszy i serca, ta do łez prawością swoją wzruszająca „Przekupka", ta „spekulantka" kawiarka z przedmieścia, wyrachowana, ale zacna, ta „Praczka" ze suteryn, dumna ze swego zawodu, „pyskata", ale uczciwa — zniknie na długo, może na zawsze z widowni teatru i życia! Bo te typy, które genialny talent Anieli stwarzał w całej swej prawdzie i poezyi zarazem, ta szczerość i serdeczność — niestety! w życiu są coraz mniej spotykane. Kolman była na scenie żywym pomnikiem, klasycznym portretem tych matron małomieszczańskich, tych szanownych, zacnych i rzetelnych niewiast!... Z Kolmanką zginą one nawet i w tradycyi, lecz nietylko historya teatru polskiego ale i dzieje społeczne, nazwisko wielkiej artystki, jako tej, która tak znakomicie umiała odczuć i odtworzyć tą piękną chcć tak niedawną przeszłość — otoczą należną czcią i szacunkiem.

Konstanty Krumłowski.

Porażka Carpentiera.

Francuski champion boksowania, Carpentier, uważany za chlubę Francyi i niemal za bohatera narodowego, ideał wszystkich Francuzek od lat dwunastu począwszy a na siedmdziesięciu skończywszy, stanął w dniu 2 lipca b. r. do rozstrzygającego spotkania z groźnym przeciwnikiem, amerykańskim mistrzem boksu, również światowej sławy, Dempseyem.

Tego rodzaju spotkanie, to rzecz bynajmniej nie łatwa, nie tyle ze względu na nagrodę dla zwycięzcy w kwocie dwa i pół miliona franków, ile że rozchodziło się tu o championat światowy, którym zainteresowały się najszersze koła sportowe. Obaj zapaśnicy przygotowywali się też bardzo sumiennie do rozstrzygającego spotkania. Zwłaszcza training Carpentiera, prowadzony bardzo intenzywnie przy pomocy trainera Descampsa, a otoczony głęboką tajemnicą, budził u przeciwnika poważne obawy, czy



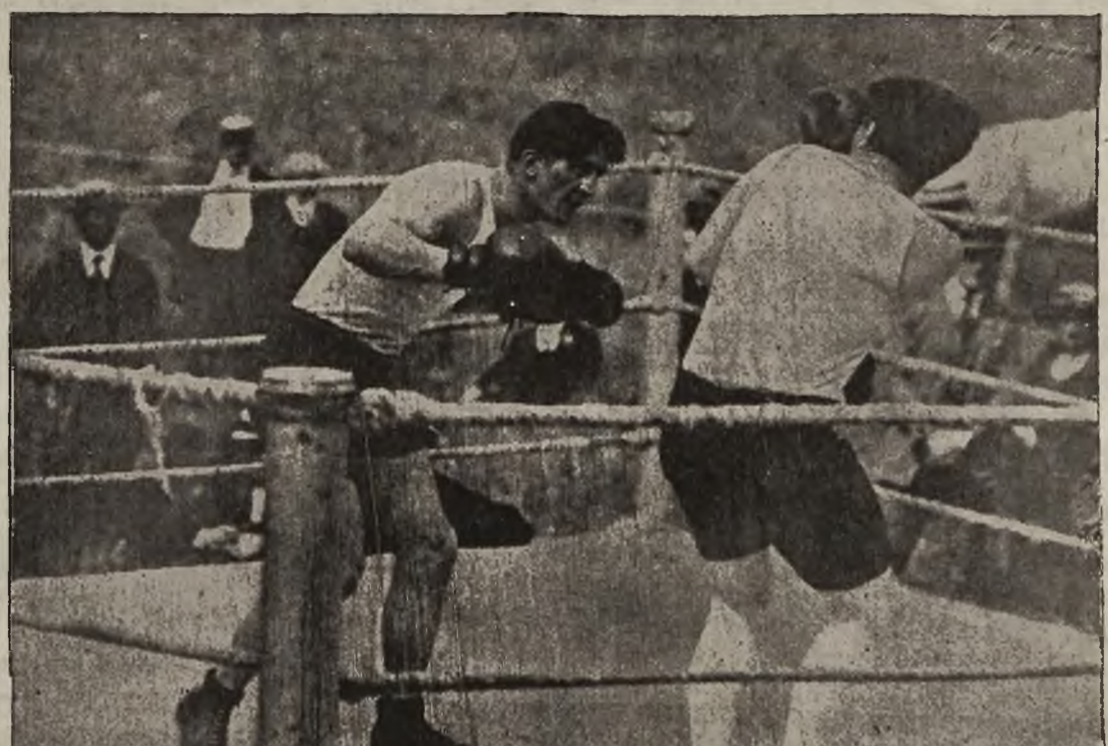
Na gruzach Sceny ludowej: A tystka Teatru Ludowego w Krakowie, Aniela Kolman.

nie przygotowuje się jakieś niespodziewane uderzenie, które mogłoby go zaskoczyć.

Dzień spotkania 2 lipca, zgromadził na miejscu zapasów pod Nowym Jorkiem tysiące ciekawych, a równocześnie i zainteresowanych materyalnie, gdyż Amerykanie korzystają skwapliwie z każdej sposobności, aby robić zakłady idące w tysiące.

Carpentier został w czwartem spotkaniu pokonany. Do drugiego spotkania była widoczna przewaga Carpentiera. W końcu drugiego spotkania było jasne, że tylko drobnostki brak, aby Dempsey został pokonany, kiedy właśnie w krytycznym momencie dano znak do przerwania spotkania.

Porażka Carpentiera wywołała, jak to łatwo można zrozumieć, bardzo przykre uczucie w całej Francyi. Piękniejsza część społeczeństwa francuskiego odczuła szczególniej porażkę swego „cichego ideału" tłómacząc sobie, że Carpentier pozwolił się dobrowolnie pokonać, aby umożliwić dojście do skutku ścisłego porozumienia francusko-amerykańskiego.



Porażka Carpentiera: Bokser francuski, Carpentier, przygotowujący się do rozstrzygającego spotkania z amerykańskim mistrzem boksu Dempseyem.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożyła Marylka K. Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami. — Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda imię i nazwisko polskiego uczonego.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska, 2. Rzeka w Egipcie, 3. Miejsce święte dla Turków, 4. Rzeka w południowej Rosyi, 5. Spółgłoska, 6. Dopływ Wisły, 7. Tłómacz Biblii, 8 Część ciała, 9. Samogłoska, 10. Rzeka na Śląsku 11. Wyspa na morzu Śródziemnem, 12. Okres czasu 13. Spółgłoska. 14. Zwierzę drapieżne, 15. Miejscowość na Węgrzech.

Zgłoskówka.

Ułożył Karol Radwan, Warszawa.

Z każdego tytułu wyjąć jedną zgłoskę, a otrzyma się nazwę jednego ze świąt uroczystych.

Ziemia i niebo.
Zalety biurokraty.
Zaczarowane koło.
Świętoszek.
Ta trzecia.

REBUS:



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) H. Sienkiewicza „Listy z Afryki" (2 tomy); 2) Kalendarz familijny na rok 1921.

Rozwiązanie zagadek z Nru 26

Logogryf N. San, koper, Brody, ale, o, Don, sanna, rabin, stopa, Inn, a, Opa, brama, Warta, Ito, e.

Kwadrat magiczny. Toga. ogar, gama, Arnt.

Zadanie do uzupełnienia. Kora, Omar, rota, Zola, Ezaw, noga, Imam, opal, woda, Soła; kula, Iran.

Łamigłówka. Sobótki.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: T. Stręk Sułkowice, J. Martynowicz Sandomierz, M. Kokoszyńska Przemyśl, J. Jabłoński Lublin, K. Moszkowski Ciechocinek, W. Teodorowicz Warszawa, G. Wirstnik Żółkiew, M. Lisowski Stanisławów, J. Wierzbicki Piotrków, M. Michalczyk Poznań, S. Kowalski Warszawa, W. Rozwadowski Kraków, H. Walewska Jasło. K. Dębicki Sambor, S. Marzec Krasne, M. Mańkowska Warszawa, M. Woźniakowski Warszawa, W. Lange Toruń, J. Kalinowski Poznań, S Sygowska Rzeszów, P. Batowski Tarnów, H. Malinowski Warszawa, J. Walczewska Lwów, M. Kubicówna Kraków, S. Zakrzewski Sandomierz, H. Boratyńska Poznań, W. Komperdowa Lwów, S. Grabowski Wadowice, S. Sokołowski Lwów, J. Sadowski Kraków. T. Cisowski Zakopane, C. Górny Limanowa. E. Gugulski Jędrzejów, A. Krusenstein Niemirów, H. Blonder Podgórze, K. Wiluszowa Krosno, D. Grajower Rzeszów, M. Brandys Kraków, J Cześnikiewicz Kraków, J. Bielawski Rzeszów, A. i J. Stanisławscy Warszawa, E. Darowska Warszawa, M. Więckowski Warszawa, H. Galińska Tarnów, J. Martynowicz Lwów, J. Orzechowski Stryj.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) A. Sokół Warszawa (Poczet królów polskich); 2) H. Maciejowska Poznań (kalendarz familijny). — Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody w kwocie 6 marek.